Nr. 47. Warszawa, dnia 22 (10) Listopada 1890 r. **Rok X.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Oprócz **Psychologii dziecka** i **Encyklopedyi dla dzieci**, które to książki wkrótce wyjdą, na początku roku przyszłego do wydawnictw naszych, bądź w dodatku, bądź osobno, wejdą: K. Letourneau **Rozwój moralności** i J. Brandesa **Młode Niemcy** (VI tom „Głównych prądów literatury“ XIX w.).

POLITYKA.

OBJAWY PRZEŁOMU.

Gdyby normy życia polityczno-ekonomicznego tkwiły w nim mechanicznie i nie obrastały ciałem, usunięcie ich zależałoby tylko od osiągniętych doświadczeń i dobrej woli. Ale niestety, tak nie jest. Państwo nie wprawia sobie sztucznych zębów, ktore może każdej chwili wyjąć i zastąpić nowymi, gdyż każda, nawet najniepotrzebniejsza kostka wkrótce spaja się z całym jego szkieletem. Reformy Bismarka w Niemczech okazały się dla nich szkodliwe, ale tak głęboko sięgnęły w organizm narodu, że dziś trudno je z niego usunąć bez ciężkich naruszeń ustroju. Trudność ta zachodzi głównie w systemie podatkowym i celnym, według którego długo odbywał się rozwój ekonomiczny państwa, układały się jego stosunki zewnętrzne i wewnętrzne. Niepodobna więc dziś dokonać przemiany bez wstrząśnień i — że tak powiemy — skaleczeń. Od czasu, jak zaczęto o tym zuchwałym egoiźmie mówić szczerze, nikt już dziś nie tai, że on ze swoich osobistych interesów brał miarę na krój gospodarki ekonomicznej. Był właścicielem wielkich obszarów ziemi i lasów, producentem zboża, hodowcą bydła i trzody chlewnej, więc opodatkował zboże, drzewo i mięso. Skoro rząd na te ciężary przestał patrzeć jego oczami, a zwłaszcza skoro na nie spojrzał oczami obecnego cesarza, straciły one swoją zasadność, a nawet ukazały swoją niesprawiedliwość. Dostrzeżono w nich uprzywilejowany interes jednej klasy społecznej kosztem innych, niemal wszystkich, oraz krzywdę warstw najbiedniejszych, już samemi brzemionami życia nadmiernie obarczonych. Cesarz Wilhelm, występując jako patron biednej, z dóbr tego świata wydziedziczonej masy, nie mógł pominąć tak ważnego warunku jej bytu, jak opodatkowanie najniezbędniejszych artykułów żywności — chleba, mięsa i drzewa. Zaczął więc szukać sposobów zdjęcia tego ciężaru w unii z Austro-Węgrami, w usuwaniu z grona swych doradców ludzi nasiąkłych duchem Bismarkowskiego protekcyonizmu, w powoływaniu nowych, wreszcie w obmyślaniu projektów prawodawczych, które by pozwoliły ubytek dochodów ze złagodzenia taryf celnych pokryć wpływami z innych źródeł. Związek ekonomiczny z Austryą płącze się dotychczas na jej interesach i stosunkach z państwami ościennemi; nowi ministrowie nie postawili jeszcze jajka Kolumbowego; dotąd mniej widzimy usiłowań i rozmyślań, niż czynów dokonanych; nie ulega jednak wątpliwości, że Niemcy wchodzą w odmienną od dotychczasowej epokę polityki ekonomicznej, której głównem znamieniem będzie złagodzenie protekcyonizmu wobec produktów najniezbędniejszych, potrzebnych do życia najniższym warstwom ludności. Wybory do kongresu amerykańskiego zmniejszyły dla Europy grozę następstw bilu Mac Kinleya, ale nie zażegnały ich w najbliższej przyszłości, a nawet nie wyłączyły zupełnie z dalszej. Zainteresowana więc w tej sprawie Francya zamierza przekształcić swoje taryfy celne i zabezpieczyć się od szkód. Przedmiot ten stanął jako główny na porządku dziennym jej zadań ustawodawczych.

Anglia, jak wytrawny kupiec, czeka i obserwuje, co inni zrobią, ażeby do zmienionych warunków dopasować swoje gospodarstwo. Skoro więc tylko w między-narodowym handlu europejskim nastąpią zmiany taryfowe, wyciągnie ona z nich dla siebie wnioski praktyczne.

Crispi, który prawdopodobnie z Caprivim nie radził nad wypowiedzeniem wojny, lecz nad obroną i napełnieniem kieszeni, zapowiedział szereg reform w polityce ekonomicznej Włoch.

Drobne państewka południowo-wschodnio mówią również o zmianie swych traktatów handlowych.

Wreszcie Rosya, jak wiadomo, oddawna w osobnej komisyi pracuje nad ułożeniem odmiennych ram taryfowych. Z tymczasowem podniesieniem cła wchodowego o 20% połączyła ona zapowiedź ogłoszenia nowego systemu polityki celnej, który ma być wygotowanym w połowie roku przyszłego.

W całej tedy Europie odbywa się praca nad przeistoczeniem warunków handlu międzynarodowego. Myśl o wojnie ustąpiła miejsca myśli o ubezpieczeniu interesów materyalnych. Nie potrzebujemy zapewniać, że rezultaty tych rozmyślań, usiłowań i zarządzeń będą miały dla całego świata cywilizowanego olbrzymie i daleko sięgające znaczenie, dalej, niż wyniki wielu starć orężnych. Oddziałają one na bieg życia wszystkich społeczeństw, gdyż nie ma tak odosobnionego, któreby w najdrobniejszych potrzebach nie odczuwało zmian i przełomów ekonomicznych. Jeżeli przeto znaki zewnętrzne nie mylą, lub jeżeli wzniecony ruch nie osłabnie, lub nie zwróci się w innym kierunku, „zbrojny pokój“ zawrze w swych dziejach bardzo ważną epokę rozwoju ekonomicznego.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Król pruski już zapowiedział, a cesarz niemiecki niedługo zapowie szereg zmian, dość głęboko sięgających w życie społe-

czne. Chodzi mianowicie o reformę szkolną i podatkową. Jeszcze w r. 1889 (a więc łącznie z Bismarkiem) Wilhelm II w rozkazie gabinetowym nakreślił plan nowego kierunku ukształcenia publicznego, zwróconego głównie przeciw dążeniom socyalistycznym. Według niego szkoła powinna staranniej, niż dotychczas, szczepić w wychowańcach bojaźń bożą, miłość dla ojczyzny i wdzięczność dla dynastyi, która dała narodowi wiele dobrodziejstw i zwłaszcza troszczyła się o dobro robotników. A zatem należy: w nauce religii wzmocnić stronę etyczną, do historyi ojczystej włączyć rozwój ekonomiczno-społeczny ze szczególnem uwzględnieniem zasług królów pruskich; przekonywać młodzież, że w przyszłości robotnicy mogą się spodziewać sprawiedliwości i bezpieczeństwa tylko pod opieką króla, który mądrymi rządami zapewni również pomyślność całego narodu. Dla podjęcia tego zadania powinni być odpowiednio przygotowani nauczyciele ludowi, do czego niezbędną jest również reforma seminaryów nauczycielskich. Zbudowany na podstawie tych życzeń królewskich projekt prawodawczy wniesiony został do sejmu. Wkrótce więc Wilhelm II przekona się, o ile jego zasady społeczno-pedagogiczne znajdują odgłos w narodzie.

Co do reformy podatkowej, będzie ona polem popisu i pierwszego występu Miquela, nowego ministra skarbu. Cesarz spodziewa się bardzo wiele po tym — jak go nazwał— „swoim człowieku,“ przedewszystkiem zaś ma nadzieję, że przez umiejętniejszy rozkład podatków minister zdoła otworzyć nowe dla nich źródła. Główny nacisk położony będzie na podatek dochodowy i spadkowy.

Minister rolnictwa, Lucius, krewniak Bismarka i zwolennik ceł ochronnych w interesie rolnictwa, otrzymał dymisyę. Wysnutym z tego faktu domysłem możnaby się łudzić i przypuszczać, że cła te zostaną zniesione lub złagodzone — co dla robotników naszych byłoby wielką korzyścią — gdyby następca Luciusa — Heyden-Kartlow nie należał również, o co go posądzają, do protekcyonistów tej samej marki. Jest to osobistość mało znana, przeszedł karyerę czysto urzędniczą — nic więc pewnego o nim powiedzieć nie można.

Crispi po widzeniu się z Caprivim nie przestaje wygłaszać „wielkich mów,“ ale za to świat już przestaje nimi się zajmować, zwłaszcza że te występy ministra włoskiego dotyczą głównie nadchodzących wyborów. Obiecuje on rozwiązać najpilniejsze kwestye społeczne, poprawić finanse kraju i dolę robotników, słowem trzyma w ręku róg obfitości, z którego wysypuje obietnice, ale po wyborach nie napełni go czynami.

W jednym z hotelów paryskich znaleziono zabitego generała Seliwerstofa, którego mordercą ma być — według Agencyi Havasa—jakiś, dotąd nieschwytany wychodźca ruski. Do rozjaśnienia tajemnicy władze francuskie zabrały się energicznie.

Giełdami całego świata finansowego wstrząsnął nieoczekiwany upadek londyńskiej firmy Buring Brothers, rozporządzającej olbrzymimi środkami i stanowiącej jedną z potęg giełdowych. Przyczyną bankructwa, które już dosięga miliardów, miała być podobno niewypłacalność Argentyny, której skarbem był dom Baringów. Bogacze europejscy łącznie z Bankiem angielskim usiłują jeszcze podeprzeć upadającego towarzysza i może go utrzymają na nogach, do dawnej wszakże mocy i świetności już on nie wróci. *Haute finance* ma dosyć czułości na to, ażeby bankruta ze swojej sfery ratować, ale za mało na to, ażeby ocalonego na dawnym poziomie utrzymać. Niech żyje — ale niższy i słabszy.

Królowa Emma złożyła już przysięgę jako regentka Holandyi, a ks. Nassauski — jako regent Luksemburga, obłąkany zaś Wilhelm pomnożył liczbę królów nominalnych, ubezwłasnowolnionych bądź, jak bawarski, skutkiem choroby, bądź, jak hiszpański i serbski, skutkiem małoletności.

W łonie rządu serbskiego wybuchnął zatarg, który prawdopodobnie sprowadzi zmiany osobiste.

Stambułow, faktyczny rządca Bułgaryi, jest chory i potrzebuje wyjechać na odpoczynek. Czy chory i czy na odpoczynek.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYLUDNIANIE SIĘ FRANCYI.

Jeśli zatrzymamy się nad demografią Francyi, dwa jaskrawe szczegóły odrazu rzucą się w oczy: z jednej strony bezustanne spadanie stopy rocznego przyrostu ludności, z drugiej zaś niesłychane wzmaganie się procentu obcokrajowców. Mianowicie przyrost ludności, który w r. 1821 wynosił 5.4 na każdy tysiąc mieszkańców, w r. 1861 poniżył się już do 3,7, w r. 1881 spadł do 2,5, wreszcie obecnie nie przewyższa prawdopodobnie 1,5. Znaczenie tych cyfr pojmiemy, porównawszy je z odpowiedniemi danemi, przedstawiającemi przyrost ludności w innych krajach. Otóż w okresie mniej więcej 1860—1880 przybytek roczny w Danii wynosił 10,13; w W. Brytanii 9,33; w Niemczech 8,42; w Belgii 8,38; w Austryi 7,69; we Włoszech 6,39; w Szwajcaryi 6,2. Są to liczby olbrzymie w porównaniu z francuskiemi. Dodajmy do tego, że niemal cały ten przyrost zostaje przywłaszczony przez miasta, nadewszystko Paryż, że w niektórych departamentach ludność nie tylko nie wzrasta, lecz zmniejsza się, a otrzymamy wtedy całość obrazu. Natomiast procent obcokrajowców podnosi się stale: na 1000 francuzów przypadało w r. 1851 około 10, w 1861 już 13, w 1881 do 26 i wreszcie w 1886 aż 30 przybyszów. Ze stanowiska ideałów ligi patryotycznej Deroulède, a takie położenie rzeczy jest istotnie zatrważające. Niemcy np. wzrastają kilkakrotnie szybciej i po paru pokoleniach zwyciężą Francyę swoją liczebnością; kiedy bowiem podwoją cyfrę swoich współobywateli, ta ostatnia zaledwie odbiegnie nieco od dzisiejszego swego poziomu. Niedość tego. Nieludne społeczeństwa są z góry skazane na rolę kopciuszków w chórze cywilizacyjnym. Tymczasem kiedy, za jakieś 5 pokoleń, językami angielskim lub niemieckim będą mówiły setki, francuskiego używać będą zaledwie dziesiątki milionów i Francya samymi warunkami zaludnienia zepchniętą zostanie do bardzo podrzędnego znaczenia w dalszym jej rozwoju kultury. Słowem, bezustanne zmniejszanie się przyrostu ludności jest sprawą, o której patryota francuski bezwarunkowo nie będzie i nie może rozprawiać spokojnie. I ilekroć jakaś praca w tej mierze wpadła mi do rąk, nigdy nie posiadała charakteru przedmiotowego. Zawsze, nawet pod maską największej beznamiętności naukowej, ukazywała się w głębi zaniepokojona myśl patryoty: „Co będzie z nami, francuzami?“ Niekiedy wyłazi jeszcze jaskrawszy dodatek: „Za lat 50—100 Niemcy zarzucą nas czapkami...“ Naturalnie, obawa ta jest przewybornym gruntem dla rozwoju różnych zaściankowych samolubstw i szowinizmów. Zresztą mniejsza o to. Czasami zdarza się, że cała niby uczona rozprawa jest w gruncie rzeczy jedynie publicystycznem kazaniem. Właśnie mamy przed sobą względnie świeżą pracę A. Dumonta *Wyludnienie a cywilizacya* *). Książka ta ukazała się w *Bibliotece antropologicznej*. Zachęceni firmą, a nadto znając autora z poszukiwań umieszczanych w *Prze-*

*) *Dépopulation et Civilisation*, étude démographique, 1890.

---

1)

OKSANA

SZKIC SIELANKOWY,

napisał

Włodzimierz Wysocki.

Al. Świętochowskiemu *)

Autor.

Prolog.

Kiedy słońce błyśnie jaśniej,
Odchyliwszy ze swej skroni
Szmatę mgieł — a nieba lazur
Z poza szarych chmur odsłoni;
Kiedy wionie wiatr wiosenny,
Kiedy topnieć śnieg poczyna,
Gdy powłoka jego biała
Już się staje trupio-sina
I spłaszczywszy się, strugami
Jako węże syczącemi,
Pocznie zmykać, odsłaniając
Tu i owdzie łono ziemi;
Wtedy w myślach, wtedy w sercu
Coś się zbudzi, zatrzepoce
I świaiełka jakieś zalśnią
W dawnych wspomnień mych pomroce.
Wtedy staje w mej pamięci
Pełna czarów i uroku
Jedna wiosna... Taką wiosnę
Miałem tylko w jednym roku.
Nigdy potem nie witało
Serca mego żywsze tętno
Żadnej wiosny — jak tę jedną,
Tę nazawsze mi pamiętną!
Wiosno owa! gdzie te kwiaty,
Co pod tchnieniem twem ożyły?
Gdzie nadzieje te, któremi
Drżały serca, wrzały żyły?
Wiosno! wiosno! gdzie te wody,
Co szumiały wówczas głośno?
W jakie morze popłynęły,
W jaki kraj uciekły, wiosno!
I dziś oto tają śniegi
Wartkim prądem szumią w strudze,
Lecz te szumy jakieś inne:
Niby głuche, niby cudze...
I dziś także pieśń wiośnianą
Wracające dzwonią ptaki,
Ale pieśń ta dla mnie smutna,
Ale śpiew ich już nie taki...
Sny cudowne, sny tęczowe,
Porankowe jasne życie!
Was wspominam, dnie młodości
Was, co nigdy nie wrócicie,
Nie wrócicie, choć sięgam
Często w duszy mej przytomne,
Wtedy czar wasz mię ogarnia,
Że zamarzę się — zapomnę:
Oto stajał śnieg na dachu,
Woda z szumem leci z rynny,
A mnie zdaje się, że słyszę
Szumy rzeki mej rodzinnej
I że widzę, jak Teterów
Niezwyczajnej prądem siły
Na falistym niesie grzbiecie
Rozpękane lodu bryły;
Kiedy bryłę taką chwyci
I o drugą ją uderzy —

*) Dopełnienie tej dedykacyi szanowny jej autor pozwoli nam pozostawić tylko w rękopisie, jako miłą i zaszczytną pamiątkę.

glądzie naukowym, przeczytaliśmy dzieło Dumonta, sądząc, że znajdziemy w niem wyczerpujące a przedmiotowe przedstawienie pewnych faktów społecznych. Tymczasem spotkaliśmy się przeważnie z szermierką publicystyczną. Nie uważamy tego naturalnie za jakąś wadę, niejedna bowiem praca publicystyczna bywa głębszą i posiada większą wartość, niż ten lub inny traktat naukowy, lecz jedynie notujemy fakt dla uwydatnienia stanu rzeczy. W każdym razie autor zabrał się do swej pracy sumiennie. Po kilka miesięcy rocznie spędzał w okolicach, gdzie ludność wzrasta lub ubywa najsilniej, badał materyał piśmienny, studyował poglądy i wyjaśnienia u żywych ludzi. Lecz kiedy przyszło do zdania sprawy z wyników badania, uczony zniknął, pozostał tylko francuz. „Dzielność wojenna i ślepa a płodna miłość — są to dwie czynności bohaterskie, które spełniając jednostka pozbywa się samolubstwa i poświęca się dla rasy. Nie ma miejsca w historyi dla narodu bez własnej indywidualności, ani też takiej indywidualności jeśli naród składa się z nagromadzenia niespojonych żywiołów, przyniesionych falą imigracyjną... Kolonizacya Oceanii, zdobycie i opanowanie Azyi i Afryki, takie zadania tegoczesność wysuwa przed ludami europejskimi. Ich znaczenie w przyszłych dziejach ludzkości będzie zależne od udziału, jaki przyjmą w spełnieniu tego zadania. Cóż zdoła jednak zrobić na tem polu naród bezpłodny?.. Naród powinien być dostatecznie ludny i silny, aby obronić siebie z orężem w ręku i w razie potrzeby wypowiedzieć zwycięzką wojnę drugiemu. Jeszcze bardziej żywiołową koniecznością jest to, aby kraj posiadał zawsze zaludnienie wystarczająco gęste, które zrównoważyło by siły sąsiadów tak, iż zbyteczną byłaby obawa najazdu lub wciskania zwycięzkiego. Niestety, Francya dzisiejsza zgoła nie odpowiada tym warunkom...“

Wyjęliśmy kilka ustępów z całości, która obfituje w podobne wylewy uczucia. Między innemi, być może, w tem stanowisku należy szukać niechęci autora dla ekonomistów. Nie może on im darować, że w napływie obcokrajowców widzą nie żywioły wrogie, ale jedynie zyski produkcyjne z przybytku sił roboczych. Podniecony przytem własną teoryą zaludnienia i spostrzegając wśród ekonomistów jedynie Malthusa z jego dziatwą idejową, gotów zaprzeczyć ekonomii politycznej nawet prawa do bytu. „Ekonomia polityczna zostaje odrzucona dzisiaj na plan drugorzędny, świeże zaś gałęzie wiedzy: antropologia, etnografia, zwłaszcza zaś demografia (!?) występują na pierwszy.“ Zauważmy, że Dumont posiada nader powierzchowne pojęcie o ekonomii, która dlań streszcza się cała w Malthusie, Millu lub Bastiacie, a co najwyżej w utopistach francuskich z rodzaju Proudhona.

Słowem, książka ta ma głównie na celu przekonać, a raczej zmusić francuzów do miewania więcej potomków. Za pomocą jakich środków autor spodziewa się dopiąć tego, zapoznamy się z tem później. Uprzednio zatrzymamy się nad niektórymi faktami „wyludniania się“ oraz nad teoryą autora związku pomiędzy wzrostem ludności a cywilizacyą. Dumont zaznajamia nas tylko z ostatecznymi wynikami swoich kilkoletnich poszukiwań statystycznych. Otóż bezustanne zmniejszanie się stopy rocznego przyrostu ludności pochodzi wyłącznie ze zmniejszonej płodności, gdyż śmiertelność nie tylko nie zwiększa się, lecz spada. Przytem liczba zawieranych małżeństw pozostała dawna, a więc zmniejszenie płodności nie jest następstwem mniej licznych związków małżeńskich, lecz jedynie mniejszej liczby dzieci w każdej rodzinie. Wszędzie, zarówno w miejscowościach gdzie przyrost ludności jest największy, jak i tam, gdzie ustał zupełnie, wszędzie to samo rzuca się w oczy, mianowicie, że doniesienia w tym względzie są z roku na rok niepomyślniejsze. Okoliczność ta wykazuje, że niedomaganie jest powszechne i wciąż zwiększa się. Zresztą sprawa jest nader zawikłana pod względem swego umiejscowienia. Wśród najzdrowszych departamentów istnieje niekiedy kilka gmin, gdzie ludność stoi wciąż na tym samym poziomie lub spada nawet; to znowu w miejscowościach, gdzie wyludnianie przybrało najbardziej zatrważające rozmiary, można spotkać jedną i drugą okolicę, które nie wykazują jego tej plagi. Właśnie takie rozproszenie zjawiska umożliwia poniekąd analizę jego sprężyn. Mianowicie, we wszystkich gminach w których przyrost ludności jest największy, mamy stale do czynienia z najniższym stopniem zamożności. Okolice, zasobne w proletaryat wszelkiego rodzaju, wykazują najmniejsze wyludnienie; przeciwnie, klęska ta sroży się głównie pomiędzy grupami lub okolicami zamożnemi, które śmiało mogłyby pozwolić sobie na liczniejsze potomstwo. Odległość od wielkich ognisk miejskich, nędza, ciemnota, mały rozwój środków komunikacyjnych, trwanie narzeczy miejscowych, wszystkie te przeszkody, stojące na drodze wzrostowi dążeń cywilizacyjnych, są tylko okolicznościami, sprzyjającemi znacznej płodności. Dumont następnie rozbiera, jaką może być dalsza przyczyna tego faktu. Ani antagonizm pomiędzy pracą umysłową a napłodczością, ani też wzrost prostytucyi i in. warunki nie wyjaśniają dostatecznie spadku płodności. Jedynem a wyłącznem źródłem wyludniania się Francyi jest w rozumieniu autora wola ludzka: małżonkowie miewają mało dzieci lub zupełnie ich nie posiadają, nie dlatego, aby nie mogli, lecz ponieważ świadomie czynią postanowienie wstrzemięźliwości w tym względzie. Ukazuje się teraz pytanie, jakiej to pobudki doprowadziły ludność francuską, a raczej jej część zamożniejszą, do takiego postępowania.

W tym celu Dumont stawia nową teoryę zaludnienia, o której mimochodem zauważymy, że jest bardzo starą w głównym swym zarysie. Sprawę podejmuje on nader szeroko, bo zaznaczywszy, że oligantropia (taką specyalną nazwę nadaje wyludnianiu wskutek zmniejszonej płodności) była właściwą Rzymowi i Atenom, wiąże ją z rozwojem cywilizacyi. Mianowicie wprowadza pojęcie „włoskowatości społecznej.“ Każdy członek społeczeństwa usiłuje wznieść się wyżej, przejść od czynności i stanowisk niższych, które zajmuje, do wyższych. Parta żywiołowo, każda jednostka, nie troszcząc się o inne, dąży na oślep w kierunku pewnego ideału, jaki sobie wyrobiła. Uczony, umierając z głodu, będzie pracował nad nauką, inny walczył za lepsze jutro społeczne, kto inny jeszcze marzył o zdobyciu majątku. Właśnie ów popęd do stanowisk wyższych Dumont zowie włoskowatością. Ciążenie to może być większe lub mniejsze, stosownie do warunków. Kiedy wytknięty cel nie jest zbyt olbrzymi, lecz odpowiada siłom osoby, to możliwość dopięcia go jedynie wzmacnia energię i przyspiesza walkę, jak w obecnej Francyi. Przeciwnie, kiedy przeszkody na drodze są bardzo wielkie i wprost do nieusunięcia, ideał zaś silnie zostaje rzucony w umysły wszystkich, wtedy wola zostaje jakby porażona, energia wygasła, rozpacz zaś doprowadza człowieka do zupełnego zwątpienia i zrozpaczenia o własnych siłach. Takim jest stan ludów dzikich, jak veddahi Cejlonu wobec nowoczesnej cywilizacyi. Gdzieindziej znowu przeszkody są tak wielkie i sam ideał tak daleko odsunięty i mało znany, że tylko nieliczne jednostki są przezeń porwane, np. w państwach monarchicznych średniowiecznych. Słowem, stosownie do istniejących stosunków społecznych natężenie włoskowatości w różnych epokach jest nader odmienne. Jeżeli staje się ono zbyt silnem, człowiek wyzywa siebie z wszelkich obo-

---

W sto ech łoskot się odbija
Od sterczących skał wybrzeży;
Z pod „Sokóła“ wązkiej cieśni
Wylatuje rozhukany,
Ryczy, wyje, potrząsając
Jak lew grzywą białej piany,
Gryzie brzegi granitowe,
Przeskakując głazów złamy
I dobiega w tych podskokach
Aż do młynów... Z drogi tamy!
Jego dzisiaj nie powstrzyma
Nawet grobla ta z kamieni,
Co mu legła w poprzek drogi!
Oto wre, wściekłością pieni
I falisty grzbiet wypina,
Jak drapieżny ryś przed skokiem
Nabrzmiał w licach i posiniał,
Zagniewany jej widokiem,
Wtem się porwał, wpadł na szańce
I zwycięzkie krzycząc: hura!
Skacze w przepaść... Nad przepaścią
Łoskot, szum i deszczu chmura!
Brzegi stoją jak dwie ściany,
Jak spiętrzone rumowiska,
Nad którymi hen wysoko
Błękit śmieje się — połyska,
A po jasnym tym błękicie
Ciągną ptactwa długie sznurki,
I jak stado białych ptaków
Poszarpane lecą chmurki...

Część pierwsza.

I.

Już kra zeszła i Teterów
Szklaną szybą legł w łożysku;
Żadna zmarszczka nie zamąca
Stalowego wód połysku;
Jeno czasem ta szczebiotka,
Błyskawiczna ta jaskółka,
Gdy je piersią białą muśnie,
Wnet roztoczy liczne kółka,
Które biegną dalej, dalej,
Coraz szersze kreśląc kręgi,
Aż znikają gdzieś przy brzegu...
Toń wygładza swoje pręgi
I znów lśniąca i przezrocza
Cicha, głębią tajemnicza
Odzwierciedla brzegi skalne
I błękitne nieb oblicza.
Czasem listek spadnie suchy
Bez szelestu na toń miękką,
Niby małe, połociste,
Kołyszące się czółenko;
Wnet nań motyl, albo ważka
W marynarza siada roli,
Czworo skrzydeł — żagli szklistych,
Rozwinęła na gondoli
I po wodzie, po przezroczej
Płynie, kędy niosą oczy...

II.

Niegdyś jak ta ważka płocha
Jam do łodzi wsiadał małej
I płynąłem zwolna, cicho
Ku Sokólu, między skały:
Nurt się zwęża i ciemnieje,
Skręca w prawą, lewą stronę,
Coraz wyżej pną się brzegi,
Wiszarami najeżone:
To jak ściany prostopadłe
Z całkowitych głazów kute,
To jak gmachów rumowiska
Zielskiem pnącem się zasnute,
A tu — ówdzie w poprzek rzeki

wiązków gatunku i tylko widzi własne potrzeby indywidualne. Naturalnie, liczne potomstwo jest w tym razie tylko zawadą na drodze do wybicia się i, co idzie za tem, zostaje równie poświęcone. W ten sposób można streścić prawo wiążące rozwój indywidualny, płodność rasy a włoskowatość. Mianowicie rozwój indywidualności ludzkiej jest w prostym stosunku do każdorazowego natężenia włoskowatości, podczas gdy płodność rasy znajduje się w odwrotnym do tej ostatniej. Otóż całe nieszczęście obecnej Francyi polega, zdaniem Dumonta, na tem, że włoskowatość doszła w niej do najwyższego szczytu. Wynika to stąd, że kraj ów posiada wyjątkowe sprzeczności w swej ustawie społecznej. Jest on niby rzeczpospolitą, lecz w gruncie rzeczy urządzenie jego jest monarchiczne. Dawny porządek rzeczy pozostawił po sobie centralizacyę w ustroju i zarządzie, idealizm w polityce i sztuce, katolicyzm w pojmowaniu przyrody i społeczeństwa. Pomiędzy dawnymi obyczajami a nowemi zasadami wre walka bezustanna i powszechna, a wzajemne sprzężenie staroczesności z tegoczesnością stwarza takie rozdźwięki, jak istnienie demokracyi zcentralizowanej w polityce, idealistycznej w sztuce, katolickiej w nauce i filozofii. Brak harmonii a silna walka zradzają szkodliwą włoskowatość, która w dalszym ciągu wpływa na płodność rasy. Nie cywilizacya przeto niesie z sobą zmniejszenie płodności, ale nienormalne warunki...

Dosyć poznaliśmy pracę Dumonta, aby zgóry wiedzieć, że nie ograniczy się on do wskazania przyczyny bez podania środków usunięcia zła. Naturalnie, wychodząc z powyżej skreślonego stanowiska, można zwyciężyć klęskę niepłodności albo wskrzeszając dawny stan rzeczy, który, przywracając hierarchię społeczną, odrazu usunie dążenie do wyższych stanowisk, wywoływane przez obecną centralizacyę, i sprowadzi harmonię w ustroju społecznym, albo w kierunku innym, odpowiadającym ideałowi „harmonijnej demokracyi" i „należytej cywilizacyi," jak je pojmuje Dumont. „Nasze położenie wolno porównać do pociągu w miejscu niebezpiecznem: należy albo cofnąć się i zwolnić biegu, lub też dodać pary i zmniejszyć trwanie niebezpieczeństwa. Należy wybrać to ostatnie zachowanie się." A zatem poddajmy pary wraz z Dumontem rozwojowi społecznemu Francyi i zobaczmy, dokąd powinniśmy w jego marzeniu skierować społeczeństwo. Ziemia i współrodak! takiem jest hasło — zresztą znane. Rozumie się, decentralizacya polityczna, masowe rozszerzenie oświaty i stworzenie wielu ognisk życia umysłowego, wyrwanie z umysłów ludzkich metafizyki człowieka pierwotnego i zniszczenie hierarchii duchownej, zatamowanie estetyki zbytku przez swego rodzaju prawa wyjątkowe, a jeszcze więcej przez zniesienie, a raczej zrównanie nierówności majątkowej — takiemi są wypowiadane życzenia, z których niejedne są niewątpliwie postępowe, gdyby dały się urzeczywistnić w istniejącem społeczeństwie. Podstawą wszystkiego jest tutaj zdemokratyzowanie własności w ten sposób, aby każdy miał równomierniejszą cząstkę. Słowem, dzisiejsza Szwajcarya, naturalnie odpowiednio wyidealizowana i wyanielona, jest ową harmonijną demokracyą, która francuzowi przywróci utraconą chęć posiadania licznego potomstwa, a cywilizacyę pozbawi fermentów rozkładowych. A zatem, chociaż poddaliśmy pary rozwojowi społecznemu, osiedliśmy na ideale drobnomieszczańskim! To jedno tłomaczy nam, dlaczego Dumont nie zdaje sobie należytej sprawy z różnych objawów społecznych. Centralizacya jest np. następstwem nie tyle królewskości, jak on tłomaczy, ile rozwoju kapitalistycznego, i demokratyczne Ameryka i Szwajcarya powoli dążą w tym właśnie kierunku. Pogardzana ekonomia, naturalnie nie z pod rąk Leroy-Beaulieu, wyjaśniłaby Dumontowi, że jego teorya zaludnienia potrzebuje mnóstwa łat i poprawek. I kiedy już idzie o dodanie pary, wartoby pojechać nieco gdzieindziej — w kierunku centralizacyi sił produkcyjnych kraju a bezklasowego cywilizowanego koczownictwa ludzi. Lecz na to trzeba byłoby posiadać w sobie więcej pierwiastków ludzkich, mniej zaściankowo-francuskich, a nadto więcej zaufać ekonomii i mniej być zapatrzonym w „demografię," tj. po prostu statystykę.

Lud. Krz.

Z POZNAŃSKIEGO.

15 listopada.

Nowy język. — Wybory. — Spółki zarobkowe.

„*Z Graetz* udały się *panie Zapolski* do świadka *Johann Szymański*. Zastały tam i *pana Peter Smoliński*, który zabrał je następnie z sobą własnym powozem do *Kosten*. Jak obie *panie Zapolski* twierdzą, z *Kosten*, nie zastrzymując się *w Posen*, wyjechały *do Kobylepole*, gdzie bawiły u gorzelanego *Rychlicki*. *Temu* właśnie *Rychlicki* dały *panie Zapolski* do przechowania dokumenta, które pokazywały poprzednio *Johann Szymański* i *Peter Smoliński* etc..."

Zapytasz niewątpliwie czytelniku, co to ma znaczyć i w jakim to języku pisane?

Ech, drobnostka; jest to ustęp z tłomaczenia urzędowego, dokonanego na wezwanie władzy sądowej w Poznaniu z języka niemieckiego na polski. Ale co znaczą owe *panie* Zapolski, ów *Peter* Smoliński, *Kosten*, *Graetz*, *Posen*, *u* Rychlicki, *domu* Rychlicki? Jest i na to objaśnienie łatwe i nader proste.

Oto prezes poznańskiego sądu nadziemiańskiego, niejaki p. Frantz, wpadł na arcyoryginalny pomysł zastosowania w praktyczny sposób reguł języka niemieckiego do polszczyzny. Wydał on do tłomaczów urzędowych okólnik, w którym nakazuje im w przekładach urzędowych trzymać się następujących reguł:

„Niewolno nadal przy imionach własnych osób i nazwach miejscowości używać odnośnych wyrazów polskich, ale jedynie tylko niemieckie."

„Nazwisk polskich familijnych i miejscowych, niedających się przetłomaczyć na niemieckie, lub jeszcze nieprzetłomaczonych nie odmieniać wcale w sposób właściwy językowi słowiańskiemu, ale przytaczać je systematycznie w przypadku pierwszym, bez odmiany rodzajów, tak, jakby one w danym razie brzmiały w ciągu mowy niemieckiej."

Wyżej mieliśmy sposobność okazać, jak dźwięcznie i miło brzmi takie urzędowe tłomaczenie. Oczywiście p. Frantzowi ono różnicy nie zrobi, bo już i tak ma ucho należycie doń przygotowane przez ciągłe używanie języka niemieckiego, a ta okoliczność, że może to razić nieprzyjemnie obywateli poznańskich, wcale go nie obchodzi i obchodzić nie może. Wprawdzie sprzeciwia się to rozporządzenie p. Frantza § 191 ustawy karnej, ale taka kolizya również nie może mieć znaczenia tam, gdzie chodzi o cel wyższy, tj. o posunięcie granic plemienia niemieckiego o kilkadziesiąt mil na wschód, o awansik lub odznaczenie, na które teraz już niewątpliwie czcigodny bojownik liczyć może.

Wśród tych z coraz to większą potęgą powracających fal germanizmu życie codzienne idzie swoim torem, tylko coraz w niem smutnej. We wszystkiem czuć przygnębienie.

Za parę dni mają się odbyć wybory miejskie w Poznańskiem. Ważne to posterunki,

---

Legł samotnie głaz olbrzymi
Prąd wzmożony, pierścieniami
Opasując go srebrnymi
Szemrze ciągle, mruczy cicho,
Niby pyta się, czy żali:
„Poco legł tu pośród drogi,
Bieg tamując mojej fali?"
Przesmykami z pośród głazów
Moje czółno się wyśliza,
Coraz dzikszy tu krajobraz,
Coraz stromsze tu urwiska!
Hen wysoko odłam skały
Groźnie zawisł nad otchłanią,
— Wiszar zwą Czackiego Głową,
Z wielką czcią spoglądam na nią —
Tu zakłócać nie chcąc ciszy,
Ledwo ruszam małem wiosłem,
Bo najlżejsze uderzenie
Echem dwoi się donośnem!
Czasem chętka przyjdzie pusta
Budzić te za każdym głazem
Śpiące echa — więc uderzam
O toń modrą wiosła płazem,
Albo z piersi przepełnionej
Krzyknę nagle: „drogi kraju!"
I wnet echo odpowiada:
„Drogi kraju!.. raju!.. raju!.."
Lecz spłoszony z pod wiszarów
Wzlata kruków tłum złowieszczy
I krakaniem mąci echo
I nad głową moją wrzeszczy...

III.

Wtem krajobraz się rozwidnia
I nurt rzeki się rozszerza,
Umajone zielonością
Pochylają się wybrzeża.
Tuż nad wodą jeżyn krzewy
Kąpią w rzece swoje liście,
Wyżej — krzaki leszczynowe
Oplątane w chmielu kiście,
Ustrojone festonami,
Które zwiesza powój dziki,
Z pod nich główki wychylają
Polne dzwonki i storczyki.
Jakże gwarno i rozdźwięcznie
W tej ustroni malowniczej,
Gdzie kapeli ptasiej dzielnie
Sam mistrz — słowik przewodziczy!
Płynę naprzód... Wprost przede mną
Siny bór ciemnieje w dali:
Gaśnie słońce, ale niebo
Jeszcze się blaskami pali
I gorącą barwą swoją
Jak pozłotą toń powleka:
Już nie wodą, ale złotem
Rostopionem płynie rzeka!
Więc po szlaku tym świetlanym,
Co się łuską lśni i mieni,
Jakby słońce podesłało
Pasmo złotych swych promieni;
Po słonecznej owej smudze
Ślizgam się w mej łodzi chybkiej
A wciąż przed nią — niby iskry
Wypryskują lśniące rybki;
Wiosło nurzam w złotym płynie
A gdy je nad wodę wzniosę —
Deszcz kamieni drogocennych,
Brylantową sieję rosę...

gdyż samorząd miejski daje pole do wielce użytecznej pracy obywatelskiej. Jak się zdaje, ostateczny ich wynik będzie korzystny tylko dla niemców. Prasa bowiem poznańska, zajęta śledzeniem, czy nabożeństwa odbywają się we właściwej porze i czy księża dobrze miewają kazania, nie miała czasu zorganizować agitacyi wyborczej, którą atoli niemcy już dawno w ręce swe ujęli. Ale za to będzie narzekała na rozmaite rzeczy...

Z końcem października odbył się w Inowrocławiu sejmik „Związku Spółek zarobkowych." Związek ten istnieje już od r. 1871 i zdobył sobie znaczną wziętość. Liczba spółek polskich wynosiła w 1889 r. 81 i to 22 w Prusach zachodnich a 59 w W. ks. Poznańskiem; wszystkie są pożyczkowe i oparte na systemie Schultze Delitscha. Do stowarzyszenia należało 72 spółek z 24,891 członkami, z których 7,090 przypada na Prusy zachodnie, a 17.801 na Poznańskie, tak iż przeciętnie na każdą spółkę—345 członków. Najbardziej pocieszającem jest to, że rozwinęły się one po wsiach; tak np. spółka w Śliwicach ma 1,032 członków, w Brusach 586, w Starymtargu 483, w Bobrowie 387, w Czersku 263, w Lisewie 164, w Lubiewie 185.

Gospodarstwu jest oddanych 12,004 członków (588 właścicieli wsi i folwarków, 11826 gospodarzy i chałupników i 490 gospodarczych oficyalistów bez majątku nieruchomego), przemysłowi i rzemiosłu 5,205 (z majątkiem nieruchomym 3,111, bez majątku nieruchomego 2,094), a innym zawodom 2089 (z majątkiem nieruchomym 1,467, bez niego 1,622).

Według wykazu z d. 31 grudnia 1889 r. ma 70 spółek w wekslach 13,783,108 marek 10 fen., tak że na jedną spółkę przypada przeciętnie 191,901 marek, a na jednego członka 55,328! Udziału z końcem roku 1889 było 2,438,688 m. 18 fen. (na spółkę 34,838 m. 40 fen. na członka 97 mk.), dywidendy dano za rok 1884 136.506 m. 89 fen. Depozytów złożono w 71 spółkach 11,121,626 mk. 48 fen., a fundusz rezerwowy wynosił 1,053,624 mk. 10 fen. Aktywa i passywa wynoszą 15,263,872 mk. 29 fen., tak że na jedną spółkę przypada przeciętnie wo 215,012 mk., a na każdego członka 613 marek.

Sejmik obecny uchwalił ustawy patronatu Spółek zarobkowych, które przejęte zostały z projektów opracowanych przez komitet Związku; następnie przeprowadził, a raczej skontrolował rewizyę, a wreszcie uchwalił skład patronatu, który ma odtąd obejmować sześciu członków.

t. z.

BADANIA NAUKOWE.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Prace filologiczne, wydawane przez Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego, z zapomogi Kasy imienia Mianowskiego. Tom III, zeszyt III. Warszawa, 1890.

Z artykułów, przedstawiających bogaty materyał językowy, zasługują na uwagę: Kaliny Ant. „Przestroga ludzi w wierze nauka," dyalog z rękopisu XVI w.; Ciszewskiego St. „Przyczynek do studyów nad słoworodem ludowym"; Berki Ant. „Słownik kaszubski porównawczy" i Ziemby J. S. „Słownik prowincyonalizmów powiatu będzińskiego."

Zabytek językowy, podany przez Kalinę, lubo nie różni się co do form gramatycznych od „Komedyi o miesopuście," ogłoszonej w tomie II *Prac filol.*, jednakże dla języka potocznego, wolnego od wpływów stylistów, tudzież dla oryginalnej wielce literatury, oznaczającej dźwięk *ł*, pożądany nader stanowi nabytek.

P. Ciszewski przysłużył się wiązanką wyrazów technicznych, przekształconych przez słoworód ludowy. I tak z kropli Bardiana lud utworzył *krople waleryanowe*, upodobniając je do imienia Waleryan. *Buraks*, co przypomina *burak*, zam. *boraks*. Ponieważ garbarze w Stawiszynie używają kwasu do czernienia skór, przeto nieświadomi prostacy, przypatrując się tej robocie, nazwali to *kwasem garbolowym (karbolowym)*. Nawet *woda uśmierzająca* stała się w ustach prowincyonałów wodą *ośmiuzajeńcą*; dlatego też słysząc to tamtejszy gmin niemiecki, tłomaczy z polskiego przez „achthasenwasser."

Okrom słownika kaszubskiego przez Pobłockiego, przybywa nam nowy zapas wyrazów z tego dyalektu w pracy p. Berki, który nie zadawalając się samym materyałem, podaje niekiedy próby dyalektologii poznańskiej, zbliżonej w wielu okolicach do mowy kaszubów, mieszkających, jak wiadomo, w Prusach zachodnich i na Pomorzu, tj. w powiatach; wejherowskim (Neustadt), kartuskim (Karthaus), kościeszyńskim (Berent), chojnickim (Konitz) i człuchowskim (Schlochau) w Prusach zachodnich; następnie w pow. bytowskim (Bütow), słupskim (Stolp) i lembarskim (Lauenburg) na Pomorzu.

P. J. S. Ziemba zebrał prowincyonalizmy z powiatu będzińskiego. Wyrazy, przeniesione do ludu tamtejszego od szlązaków górnych, oznaczone są gwiazdkami. Szkoda, że p. Ziemba zaniedbał nauczyć się czeszczyzny, któraby wielce w zbiorku tym pomocną była, rzucając niemałe światło na pochodzenie niektórych wyrazów, niewątpliwie czeskich, jak np. *cera* — córka, porówn. czeskie *dcera*; *chnet* — wnet, porówn. cz. *hned*; *dycki* — zawsze, porówn. czeskie *wždy*, *wždyczky*; *ślabikárz* — elementarz, porówn. cz. *slabikárz* itp.

Wdzięczni jesteśmy *Pracom filol.* za umieszczenie odczytu mianego w Dorpacie (w kwietniu 1889 r.) przez p. Baudouina de Courtenay. Treścią prelekcyi są ogólne zmiany językowe, które objawiają się za pomocą historyi, tj. rozwoju przerywanego, pośredniego. Są one bądź psychologiczne, bądź fizyologiczne, właściwe tylko jednostkom, a nigdy społeczeństwu; dlatego to, co stanowi życie językowe, jest pracą jednostek w trzech kierunkach: 1) *fonacyjnym*, tj. ruchu odśrodkowym, od centrum na zewnątrz; 2) *audycyjnym*, tj. ruchu dośrodkowym od zewnątrz ku centrum i 3) *cerebracyjnym*, tj. centralizacyą w mózgu, czyli mówienie samo, a raczej myślenie językowe. Fonacya czyli ruch odśrodkowy dąży do ułatwienia wymowy, zastępując dźwięki trudniejsze — łatwiejszymi; np. *prześcieradło* zam. prześcieładło, *balwierz*, *mularz*, *Małgorzata* zam. barwierz (barbier), murarz, Margorzata. W tym nawet celu zachodzi wyrzutnia i redukcya pewnych dźwięków, np. *rosnę*, *szła* zam. *rostnę*, *szedła... obarzanek*, *obóz*, *obłok* — zam. obwarzanek, obwóz, obwłok, *cny*, *zacny* — zam. *czsny*, zaczsny, a to znowu zam. *czstny*, *zaczstny*. Tu należy upodobnienie (asymilacya) usuwanie spółgłosek końcówkowych, itp. Zniknięcie *ł* w podobnie wyrazów: *niósł* (niós), *jabłko* (japko) itp. zależy od fonacyi i audycyi, wpływającej poniekąd na przejście dźwięków *k*, *g*, *gh* na powiewne, czyli spiranty, w rodzaju *sz*, *ż*, lub *s*, *z*, np. *pors* (prosię), *visi* (wieś), *desęté* (dziesięć), *zna* (znać), *zima*... Z dawniejszych: *pork* (porcus), *vik* (vicus), *dekm* (decem), *gno* (gmosco), *gheim* (hiems). W mózgu samym, tj. w cerebracyi odbywa się proces ułatwiania mówienia, uwzględniający poniekąd wpływy fonacyi i audycyi. Formy zastąpiły się innemi, nowszemi, wyrazy zmieniły znaczenie, albo też uległy przekształceniu przez słoworód ludowy.

W dziale rozbiorów i sprawozdań należy się uznanie p. Łosiowi za sprawozdanie ściśle przedmiotowe ze składni sanskryckiej Delbrücka. P. Kryński obficie dział niniejszy piórem swojem zasilił. Słowem, nie szczędzono starań, aby wydawnictwem tem przyjść w pomoc specyalistom.

J. F. Gajsler.

TYMCZASOWE DONIESIENIE KOCHA.

Ulegając nadzwyczajnemu naporowi ze strony lekarzów i publiczności, Koch ogłosił w *Deutsche Med. Wochenschrift* tymczasową wiadomość o swojej metodzie leczenia grużlicy. Nie zdradzając istoty stosowanego środka, oznajmia tylko, że jest to płyn brunatny, przezroczysty, który w stanie pierwotnym przechowuje się z łatwością. Dla użytku trzeba go rozcieńczać wodą destylowaną, a roztwór taki ulega rozkładowi, staje się mętnym i traci swe własności. Chcąc tego uniknąć, trzeba roztwory sterylizować zapomocą gorąca lub karbolu. Po częstem atoli rozgrzewaniu i mieszaniu z karbolem działanie płynu, zwłaszcza w postaci bardzo rozcieńczonej, słabnie stopniowo.

Środek ten, wprowadzony do żołądka, nie działa wcale i winien być stosowany tylko za pomocą wstrzyknięcia pod skórę. W doświadczeniach posługiwano się w tym celu specyalną strzykawką bez tłoczka, osadzoną na małym baloniku gumowym, którą łatwo przemywać alkoholem bezwodnym. Co do miejsca najodpowiedniejszego do zastrzykiwań, wybrano skórę między łopatkami i okolicą lędźwiową.

Przez długi czas Koch próbował swego środka na świnkach morskich. Gdy zaś rozpoczął doświadczenia z ludźmi, spostrzegł odrazu znaczną różnicę w zachowaniu się ustroju ludzkiego. Człowiek jest o wiele wrażliwszym na działanie owej cieczy, niż świnki morskie. Chcąc poznać działanie środka, Koch wstrzykiwał sam sobie na ramieniu 0.25 ctm. sz. roztworu. Po upływie trzech lub czterech godzin uczuł darcie w członkach, osłabienie, skłonność do kaszlu, duszność, które to objawy szybko się wzmagały; po upływie czterech godzin wystąpiły niezwykle silne dreszcze, trwające całą prawie godzinę, a zarazem mdłości, wymioty i podniesienie się temperatury do 39.6°. Po dwunastu godzinach wszystkie te przypadłości ustąpiły, temperatura obniżyła się i nazajutrz wróciła do wysokości normalnej; ociężałość kończyn i osłabienie trwały dni kilka; równie długo też miejsce wstrzyknięcia było zaczerwienione i cokolwiek obolałe. Najmniejsza dawka, działająca na człowieka zdrowego, wynosi około 0.01 ctm., odpowiadająca 1 ctm. sześciennemu roztworu 1 procentowego. Większość czuje po tej dawce tylko lekki ból w kończynach i przelotne osłabienie; u niektórych temperatura podniosła się do 38° lub nieco wyżej.

O ile co do dawki między zwierzętami, używanemi do doświadczeń a człowiekiem istnieje znaczna różnica, o tyle inne własności okazują pewną analogię. Najważniejszą z tych własności jest *specyficzne oddziaływanie środka na wszelkie procesy gruźlicze.*

Człowiek zdrowy, jak widzieliśmy, nie reaguje wcale albo w nieznacznym stopniu na 0,01 ctm. sz. Tak samo zupełnie ma się rzecz z ludźmi, o ile nie są dotknięci gruźlicą. Ale wręcz przeciwne objawy spostrzegamy u chorych na gruźlicę; skoro bowiem wstrzykniemy im tę samą dawkę, występuje silna, zarówno ogólna, jak miejscowa reakcya. Reakcyę miejscową najlepiej można obserwować na chorych, których objawy gruźlicze występują zewnętrznie, np. w chorobie skóry zwanej wilkiem (lupus). Tkanka, dotknięta tym cierpieniem, zazwyczaj po kilku zastrzyknię-

ciach obumiera i daje się usunąć jako masa martwa.

Reakcya w narządach wewnętrznych, a zwłaszcza w płucach, z natury rzeczy usuwa się z pod bezpośredniej obserwacyi. W takich wypadkach przeważa ogólna reakcya, wolno jednak przypuszczać, że i tutaj zachodzą te same zmiany, jakie gołem okiem widzieć można przy leczeniu „wilka."

Opisane wyżej objawy reakcyi ogólnej w dotychczasowych doświadczeniach występowały zawsze przy każdym procesie gruźliczym po dawce 0,01 ctm., to też Koch sądzi, iż środek jego *stanie się niezbędnym przy stawianiu dyagnozy gruźlicy*, zwłaszcza w początkach suchot i w wypadkach wątpliwych, gdy poszukiwania laseczników lub włókien elastycznych w plwocinie nie zdołały wytworzyć jasnego pojęcia o chorobie.

Ze spostrzeżeń zebranych po zastrzyknięciu płynu nad zmianami w skórze, dotkniętej „wilkiem," pokazuje się, że płyn ów nie zabija laseczników, lecz tkankę gruźliczą. Fakt ten określa zarazem ściśle granice, do których sięga wpływ leczniczy nowego środka. Może on oddziaływać tylko na żyjącą tkankę gruźliczą, natomiast na zmarłą, zserowaciałą, na kości dotknięte martwicą itd. środek Kocha nie działa. Lekarz przeto powinien przedewszystkiem żyjącą jeszcze tkankę doprowadzić do obumarcia, a następnie starać się, o ile można jaknajprędzej, np. drogą operacyjną, o usunięcie obumarłej; w wypadkach, w których operacya jest niemożliwą i gdzie sam organizm radzić sobie musi, należy przez ciągłe stosowanie środka bronić zagrożoną tkankę zdrową od napływu nowych pasorzytów.

U suchotników środek działał w sposób następujący: kaszel i plwociny wzmagały się zazwyczaj po pierwszych wstrzyknięciach, później jednak stopniowo objawy te słabły, a w najpomyślniejszych wypadkach w końcu ustąpiły zupełnie; plwocina stawała się śluzowatą. Liczba laseczników zmniejszała się zwykle dopiero wtedy, gdy plwocina okazała się śluzowatą. Na razie znikały wtedy doszczętnie, od czasu do czasu jednak pokazywały się znowu, aż w końcu plwocina zupełnie przestała się wydzielać. Zarazem znikały poty nocne, chorzy zaczęli lepiej wyglądać i przybywało im na wadze. U wszystkich chorych, będących w początkowym okresie suchot, po upływie 4—6 tygodni ustępowały wszelkie objawy choroby, tak, że można było uważać ich za wyleczonych. Również chorzy z niezbyt wielkiemi jamami w płucach poprawili się znacznie i prawie wyzdrowieli. Tylko u suchotników, u których w płucach znajdowały się liczne i szerokie jamy (kawerny), polepszenia objektywnego nie można było zauważyć, jakkolwiek subjektywnie i tutaj poprawił się stan chorego i zmniejszała się ilość plwociny. Na zasadzie doświadczeń tych Koch przypuszcza, że *suchoty w początkowych okresach mogą być stanowczo wyleczone za pomocą jego środka*. Częściowo stosuje się to także do niezbyt daleko posuniętych wypadków choroby.

Orzeczenie powyższe wymaga rzecz prosta zastrzeżenia o tyle, że chwilowo niema jeszcze i nie mogło jeszcze być ukończonych zupełnie doświadczeń, któreby stwierdziły, że chory wyleczony został raz na zawsze. Recydywy na razie oczywiście nie są jeszcze wykluczone. W każdym jednak razie wnosić wolno, że recydywy te będą mogły być usuwane równie łatwo i szybko jak pierwsza choroba. Z drugiej strony jest rzeczą możliwą, że analogicznie do innych chorób zakaźnych, wyleczeni raz suchotnicy będą zabezpieczeni trwale przed zarazą. I to wszakże Koch chwilowo poczytuje jako pytanie: wymagające stwierdzenia w dalszych badaniach.

Suchotnicy z wielkiemi jamami w płucach prawdopodobnie tylko w wypadkach wyjątkowych będą mogli osiągnąć trwałe polepszenie z zastosowania tego środka. Ale na razie i tego rodzaju chorzy po większej części doznawali polepszenia w stanie zdrowia. Stąd należy wnosić, że i tutaj na pierwotny proces gruźlicy środek ów działa tak samo, jak u innych, i że zazwyczaj niema tylko możności usunięcia obumarłych tkanek wraz z następczemi procesami ropnymi. Mimowoli nasuwa się myśl, czy niektórych z tych ciężko chorych nie można by wyleczyć przez skombinowanie nowej metody z pomocą chirurgii lub z pomocą innych czynników leczniczych? W ogóle z naciskiem Koch przestrzega przed szematycznem stosowaniem środka w sposób jednakowy u wszystkich chorych na gruźlicę. Leczenie będzie zapewne najprostsze przy początkowych okresach suchot i przy zwykłych cierpieniach, dających się usunąć drogą operacyi; we wszystkich jednak innych postaciach gruźlicy powinna wejść w pełne swe prawa cała umiejętność lekarska w celu starannego indywidualizowania wypadku i użycia innych środków dla wzmocnienia skutków metody.

Punkt ciężkości nowej metody polega tedy na jaknajwcześniejszem o ile można jej zastosowaniu. Właściwym przedmiotem leczenia winny być początkowe okresy suchot, ponieważ wobec nich metoda może rozwinąć całą swą siłę leczniczą. Z tego też względu lekarze w przyszłości powinni w wyższym o wiele stopniu, niż dotąd, starać się o to, aby o ile można najwcześniej postawić dyagnozę suchot. Do tej pory rozpoznanie laseczników gruźliczych w plwocinach traktowane było rzecz małej wagi. Obecnie medycyna praktyczna musi poczynać sobie inaczej. „Gdyby dzisiaj lekarz nie użył w tym celu jaknajspieszniej wszelkich środków, do których należy przedewszystkiem zbadanie laseczników w podejrzanej plwocinie, zawiniłby ciężko swem niedbalstwem, ponieważ życie chorego może zależeć właśnie od dyagnozy i od jaknajszybszego zastosowania na jej podstawie specyalnej metody leczenia. W wypadkach wątpliwych powinien lekarz przekonać się o istnieniu gruźlicy za pomocą próbnego zastrzyknięcia płynu."

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

E. Tissot. *Les évolutions de la critique*. Genewa 1890.
G. Renard. *Les princes de la jeune critique*, Paryż 1890.

Tissot jest zdecydowanym zwolennikiem krytyki analitycznej. Oto określenie, jakie jej daje: „Krytyka analityczna rozpatruje zjawiska artystyczne, jako *symbole*. Nie zaniedbując rozbioru estetycznego i socyologicznego, zastanawia się ona głównie nad umysłem twórczym autora danego dzieła sztuki, nad otoczeniem, w którem umysł ten się rozwinął, nad rasą, z której wyszedł. Przez głęboką analizę dzieła, biografii, genealogii odkrywa ona pewne sposoby myślenia i czucia. Otóż te rysy znajdują się we wzajemnej od siebie zależności, jak rozmaite organy zwierzęcia (prawo współzależności charakterów Curier'a). Z ustanowieniem tych rysów umysł rozbieranego autora zostaje wskrzeszony przez krytyka."

Tak samo mniej więcej pojmuje zadanie krytyki Renard: „Opiera się ona na tej wielkiej zasadzie, która panuje we wszystkich naukach: niema skutku bez przyczyny. Krytyka stara się więc określić naturę i wyjaśnić pochodzenie dzieła z jednej strony, a z drugiej — zrozumieć autora, umieszczając go w środku, w którym się rozwinął. Staje się ona w ten sposób gałęzią historyi i jej ideał polega na wzniesieniu się od rozbioru faktów szczegółowych do znajomości ogólnych praw, które określają rozwój literacki danego narodu." Renard przyznaje wszakże, iż w zastosowaniu do autorów żyjących tego rodzaju objektywizm naukowy jest prawie niemożliwy; uprzedza zatem, iż książka jego posiada rysy i poglądy podmiotowe. Krytyka więc jego jest mieszana i dostarczyła nam kilka wdzięcznych charakterystyk: J. Lemaitre'a, Ferdynanda Brunetière'a, P. Bourgeta, A. France'a i L. Ganderax'a.

Tissot jest bardziej pretensyonalny: ani na chwilkę nie chce zleźć z koturnu; dziełko swe otoczył czysto naukowym aparatem i bądź co bądź erudycyi odmówić mu nie można; ale rysy podmiotowe na każdym kroku odnajdujemy. Nic dziwnego: ani estetyka, ani psychologia, ani socyologia nie są umiejętnościami ustalonemi. Cóż dopiero mamy powiedzieć o krytyce analitycznej, która musi się na nich opierać? Do mistrzów tej nauki Tissot zalicza Taine'a, Hennequin'a i Bourgeta, zastanawiając się szczegółowo nad dwoma ostatnimi. Ponieważ o Hennequin'ie niedawno w *Prawdzie* pisaliśmy, więc zatrzymamy się na chwilę przed Bourgetem. I Tissot i Renard zgadzają się, że jego szkice krytyczne (*Essais de psychologie, Nouveaux éssais de psychologie, Études et portraits)* należą tak samo do psychologii, jak i jego powieści. Aby zrozumieć krytyka, trzeba wziąć pod uwagę i powieściopisarza. Tissot opiera więc swą charakterystykę na całości jego dzieł. Jest to najlepsza prawie część książki. Stosunek Bourgeta do miłości najlepiej go charakteryzuje. Znajduje się tu, zdaniem Tissota, nie uczucie, lecz analizę, która zabija je w samym zarodku, arystokratyzm, omijający wszystko, co pospolite i szukający wyrafinowanych wrażeń, silną dozę zmysłowości i libertynizmu, nareszcie smutek bezgraniczny, niemający oczywistej przyczyny. Dalej Bourget jest dotknięty chorobą woli, którą Tissot chrzci imieniem hamletyzmu. Nareszcie krytyk odnajduje w fizyognomii duchowej znanego powieściopisarza fatalizm i kosmopolityzm. Pierwszy wytworzony został wykształceniem naukowem, drugi przebywaniem w sferach arystokratycznych, które Bourget przeważnie maluje. Od fatalizmu do mistyki krok jeden. Powieściopisarz francuski pojął, a ponieważ hołduje religii cierpienia ludzkiego hr. Tołstoja. Tyle Tissot. Zauważmy od siebie, iż religia ta przybiera ostatnimi czasy coraz bardziej charakter klerykalny i zbliża się nawet do dewizy: „Credo quia absurdum." Ale Tissot wcale nie spostrzegł, iż Bourget obok całej swej arystokratyczności jest sobie najzwyklejszym filisterkiem i że ideały jego moralne mają silny zapaszek zakrystyi. Już w „Zbrodni miłości" Helena okupuje swój występek cudzołóztwa powrotem do „obowiązków." Ani Bourgetowi, ani Tissotowi, który się dziwi, że kobieta „si raffinée, de coeur si pur, trompe son mari," ani przez głowę nie przejdzie myśl, że jeżeli ze strony Heleny była wina, to polegała ona na tem, iż żyje ona z mężem, którego nie kocha — cudzołóztwo było tylko skutkiem tej winy. Zdumiewającą jest istotnie logika mieszczańskiej moralności. Helena, aby zrobić na złość kochankowi, który ją porzucił, oddaje się pierwszemu lepszemu, którego napotkała. Czuje się potem tak zbrukaną, jak gdyby popełniła zbrodnię lady Mackbeth: nic nie zdoła zmyć błota, które bryznęło na nią. Tymczasem taż sama Helena żyje z mężem lata całe, nie kochając go i nie mając żadnych wyrzutów sumienia. Czemu? Bo z mężem stanęła u mera, lub, jak u żydów, pod rozpiętą płachtą. Osłupieć można! Jeżeli kochanek porzucił Helenę, to wyjścia z tragicznego położenia mogła szukać we wszystkiem, tylko nie w powrocie do męża: wszak uściski jego powinny być dla niej tak ohydne, jak i uściski oficera, któremu się oddała po balu, mszcząc się na Armandzie. Tymczasem Bourget każe jej powrócić do „obowiązków," i znajduje w tym

oburzającym postępku rozstrzygnięcie kwestyi, gdyż jest ono w zgodzie z przykazaniami. Proszę sobie tylko wyobrazić Norę Ibsena pozostającą w domu męża potem, kiedy straciła dlań wszelki szacunek i miłość. W „Uczniu" przedstawił nam Bourget, jako typ, który z czasem zbawi Francyę, młodego szlacheckiego pasorzyta, żyjącego według ustanowionych raz na zawsze prawideł. Wolimy już rozkładającą się zgniliznę Roberta Greslon, niż tego rodzaju zbawienie.

Oprócz Taine'a, Hennequina, Bourgeta, przedstawicielami analitycznej krytyki we Francyi są Renouvier, Sarrazin, Ch. Morice, E. Rod, a po części Renan i Goncourt. Obecnie do grona ich przybył Tissot i Renard. Od krytyki analitycznej Tissot odróżnia literacką i moralną. Pierwsza ocenia zjawiska estetyczne i punkty widzenia pewnego kodeksu piękna, druga — opierając się na pewnym ideale moralności. Oba te rodzaje rozpatrują zwykle dzieło, jako niezależne, nie zaś jako konieczny skutek długiego szeregu przyczyn; wydają one swe sądy i orzeczenia na zasadzie pewnego dowolnego autorytetu, który się im wydaje bezspornym i przeplatając się w samoistnym stopniu, stanowią chleb codzienny wszystkich pism.

W rozdziale o krytyce literackiej Tissot zastanawia się głównie nad Brunetièrem i Lemaitrem.

Najwybitniejszym rysem fizyognomii duchowej Brunetière'a jest klasycyzm, a raczej latynizm, modelowany na wzór Boileau'a i literatury francuskiej XVII stulecia, po za którymi niema zbawienia. Brunetière ma wszystkie zalety i wady swego mistrza. Zalety: jasność stylu i zdrowy rozsądek; wady: praktyczność i ciasność umysłu. „Książka dla niego pozostaje — powiada Tissot — papierem zadrukowanym słowami, ułożonemi mniej więcej zręcznie podług pewnych prawideł estetycznych." Tissot wątpi, aby przy takich warunkach można było pojąć poezyę nowożytną. Nareszcie młody krytyk odnajduje w Brunetièrze wszystkie wpływy, które utworzyły literaturę francuską XVII w.: religię (jest on sługą Kościoła), monarchizm Ludwika XIV (któremu hołduje we wszystkich jego przejawach) i starożytność rzymską. Mając taki, raz na zawsze ustanowiony katechizm poglądów, Brunetière wydaje zwykle sądy doraźne, bez wahania. Z ducha nowożytnego klasyk ten zapożyczył tylko styl paradoksalny i pesymizm.

Antytezą Brunetière'a jest Lemaitre. Tutaj nie spotkacie żadnych prawideł, żadnych dogmatów — tylko wrażenia. Jako kronikarz nader dowcipny i przyjemny, jakkolwiek powierzchowny, Lemaitre wyraził się sam o swych kronikach: „Quand ces morceaux de style ont quelques mois de date, l'insignifiance en est telle, qu'ils sont absolument illisibles" — i miał racyę. Przy braku zasad ma on wszakże pewne skłonności i upodobania. Można je objąć nazwą neo-hellenizmu. Jest to „żal za straconym poganizmem Hellady i chęć zapomnienia chrześciaństwa," jak go Tissot określa. Kierunek ten przejawia się u Lemaitra, oprócz pogardy dla wszystkiego, co chrześciańskie, w uwielbieniu kobiety (féminisme) i w dyletantyzmie myśli. Jest to prawdziwy Don-Juan w krytyce.

Krytykę literacką, oprócz powyższych uprawiają we Francyi: J. Nisard, L. Ulbach, F. Sarcey, A. France, J. J. Weiss, H. Houssaye i mnóstwo innych.

W dziele krytyki moralnej Tissot mówi o E. Scherenze i o Barbey d'Aurevillym. Pierwszy rozpoczął od protestantyzmu, przeszedł potem do niezależnej etyki, przypominającej jednocześnie Spencera i Kanta i skończył nareszcie na bezgranicznym sceptycyzmie. Posiadał on zawsze szlachetną śmiałość wypowiadania swych myśli bez ogródki. Dla przekonań wyrzekł się zyskownej karyery profesora teologii, z przekonania ośmieszał wiarę objawioną, ktora go niegdyś łudziła; tą samą nareszcie pobudką kierowany, wystąpił w obecnych czasach szowinizmu francuskiego przeciw patryotyzmowi. „Bardzo być może — pisał — iż patryotyzm ma pewne czary dla wielu osób; co do mnie, przyznaję, jest mi on nieprzyjemny dzięki swej ciasnocie. Aby się zamknąć w sferze ojczyzny, trzeba być przekonanym, iż ojczyzna nasza jest najlepsza. Otóż wszystkie narodowości są o tem przekonane. Niepodobna, aby wszystkie miały racyę: przesąd, głupstwo..." Musimy przyznać, że człowiek, który się odważa w czasach, gdy Deroulede'owie rej wodzą, coś podobnego publicznie powiedzieć, musi obok odwagi posiadać jeszcze pewne przekonania. Proszę zauważyć, że nikt uczciwości Scherera nigdy nie zakwestyonował i nie obwiniał, iż chce sprzedać Francyę Niemcom. Dlatego też zdanie Tissota, iż Scherer jest Mefistofelesem krytyki francuskiej, wydaje nam się mylnem. Nie będziemy się zastanawiali nad Barbey d'Aurevillym, który zachował w końcu XIX w. ideały krzyżowca. Do szkoły krytyki moralnej należą jeszcze Caro, Bersot, Melchior de Voguë, d'Haussonville i wielu innych.

Dziełko Tissota ma tytuł zbyt pretensyonalny, gdyż ewolucyi krytyki francuskiej w niem nie znajdujemy. Daje ono nam natomiast charakterystykę sześciu pisarzy (Brunetièra, Lemaitre, B. d'Aurevilly, Scherer, Hennequin i Bourget) napisaną z talentem i znajomością rzeczy.

L. W.

LITERATURA NIEMIECKA.

I. Powieść.

F. Mauthnera „Der Villenhof." — Hermana Heiberga „Die Spinne." — „Vevi," opowieść epiczna Gustawa Schollwöcka.

Mauthner i Heiberg należą do owej grupy młodszych powieściopisarzów niemieckich, którzy stworzyli sojusz pomiędzy powieścią nowoczesną, realistyczną a tradycyjną, szablonową, zapewniwszy sobie w ten sposób poparcie obu obozów, wkradli się w łaski wszystkich kół czytających. Lawirują oni zręcznie między prawdą realną a ponętnem zepsuciem, pomiędzy satyrą społeczną a kokietowaniem z arystokracyą. W nowej powieści Mauthnera, „Villenhof," widzimy wdowę mieszczańską, sprytną i bogatą, a wydychającą do arystokracyi. Autor nie jest o tyle okrutnym, aby nie zaspokoić ambitnego pragnienia swej bohaterki: wydaje ją istotnie za hrabiego. On hrabia, również zręczny a znudzony, poślubił poprzednio subretkę, która mu uciekła z jakimś baronem, a baron znów opuścił był biedną szwaczkę. Aby zaś wykazać, jak ulubioną w kołach arystokratycznych zabawką jest porzucanie towarzyszów życia, wprowadza Mauthner jeszcze żonatego generała, umizgającego się do wdowy póty, aż żona mu ucieka. Dodajmy jeszcze młodego rzeźbiarza, wsławiającego się z nienacka mistrzowską grupą i poślubiającego bogatą szlachciankę, a zrozumiemy do reszty, na jakiej to kanwie i jakimi kolorami Mauthner haftuje. Ma to być powieść „berlińska," lecz w postaciach jej i zdarzeniach streszczonych niewiele chyba dopatrzeć można barw miejscowych. Jeżeli mimo to publiczność bardzo nią się zainteresowała, przypisać to należy tej okoliczności, że autor uchwycił typ wyborny, znany powszechnie w Berlinie. Mauthner nazywa tę postać „Tulpenzieke," w Berlinie zaś znaną ona jest jako „Eiszieke." Jest to wdowa niemłoda już, jednak pretensyonalna, o czem świadczy dziwaczna jej toaleta. Płonąc bezdenną dla płci męzkiej sympatyą, pożycza złotej młodzieży pieniędzy na nizkie procenty, przytem używa życia, bywając na wszystkich wyścigach i balach, a głównie na ślizgawkach; stąd przydomek „Eiszieke."

Heiberga „Spinne" osnutą jest na motywie oryginalniejszym, ale niestety za wiele w powieści tej dodatków szablonowych. Bohaterka ma naturę dziwną: nie znosi ona miłości, a ile razy mężczyzna, choćby najsympatyczniejszy, zaczyna okazywać jej to uczucie, budzi się w niej ów opór zagadkowy, który zowie „pająkiem." Jest to zjawisko, które u panien nowoczesnych, żyjących w sferze moralnej, oddalonej od przyrodzonych podstaw etyki ludzkiej, nie jest tak rzadkiem, jakby można sądzić wobec jego paradoksalności. Gdyby tylko bohaterka ta nie nazywała się Barbro Ranka Semidoff! Lecz tego wymaga — według Heiberga — smak publiczności. Owoż panna Semidoff zaręcza się z prokuratorem państwa Luciusem, patrząc jednem okiem na rycerskiego Tassila, posiadacza majątku milionowego. Lucius jako narzeczony okazuje Rance miłość, skutkiem czego wyłazi z niej pająk: zrywa ona związek zawarty, a kiedy Tassilo znów się pojawia, ona znowu z nim się łączy. Teraz dopiero pająk ją niepokoi: nie umie i nie chce być żoną. Lecz Tassilo to nie kanarek łagodny w guście Luciusa: postanawia on „poskromić złośnicę." Wyjeżdża wieczorem po ślubie, a młodą żonę zostawia w pałacu, poruczając kamerdynerowi rolę dozorcy więziennego. Kamerdyner ten ozdabia powieść swem nazwiskiem: Heiberg nazwał go „Lamartine." Pani Tassilo ucieka przez okno: czuje, że ma głos fenomenalny i chce jako artystka żyć wystawnie, awanturniczo a niezależnie i nie być zmuszoną do miłości. Lecz Tassilo znajduje ją i poskramia skuteczniej niż dawniej, a po kilku latach urocza kobieta, zbuntowana przeciw porządkowi przyrodzonemu, zostaje matką i na tem kończy się tragikomedya jej młodości.

Ze sfery powieści współczesnej, goniącej za zarobkiem, przenosi nas „Vevi" Schollwöcka w dziedzinę poezyi prawdziwej. Akcya utworu tego odgrywa się około roku 1634 w Oberammergau; był to czas, kiedy po raz pierwszy dawano tam widowiska pasyjne. Vevi jest dziewczyną z Oberammergau, a bohaterem arcybiskup elektor, Maksymilian koloński. Schollwöck obok obrazów tragicznych, odzwierciedlających czasy „czarnej śmierci," roztacza w utworze swym wiele humoru i kreśli sielanki, niezakrawające na sentymentalność. Techniczną zaletą tej opowieści jest ścisła przedmiotowość.

II. Dramat.

Nowe tryumfy dramatu społecznego w Niemczech: Wildenbrucha „Haubenlerche," Fuldy „Das verlorene Paradies." — Nowa sztuka Sudermanna „Sodoms Ende." — Cesarz Wilhelm jako protektor dramatu społecznego.

Dramat społeczny stanął nagle na pierwszym planie literatury niemieckiej. Zajęcie się powieściami zmalało u publiczności i autorów, wszystko prze ku scenie. Lecz ostatnich lat parę ani jeden dramat niemiecki nie miał powodzenia. Teraz inaczej. Wiadomo czytelnikom *Prawdy*, że szereg dramatów społecznych rozpoczął się z sztuką Sudermanna „Die Ehre" (Honor), która weszła na wszystkie sceny niemieckie, dając hasło innym pisarzom do porzucenia dawnego szablonu i do poświęcenia się nowemu kierunkowi. Ernest Wildenbruch, którego posądzono, iż zupełnie zaprzedał się kołom rządowym, a którego przedostatnia praca „Der Generalfeldoberst" niedopuszczona była na scenę berlińską, gdyż tym właśnie kołom się nie podobała, zgorszony taką zapłatą za kilkakrotnie wierne usługi, przeskoczył odrazu na pole poezyi socyalistycznej. Bohaterką jego najnowszego dramatu „Die Haubenlerche" jest robo-

tnica, świeża i wesoła jak skowronek, bohaterem — młody właściciel fabryki, typ człowieka ceniącego niezawisłość, a pragnącego zbratania się pracodawcy z robotnikami. Zakochany w owym „skowronku," któremu na imię Lene, pragnie ją poślubić; lecz przebieg akcyi okazuje, że szlachetny August był marzycielem, i że między warstwami społecznemi, które dzieli stopień inteligencyi i wykształcenia, istnieć może przyjaźń i solidarność, lecz nie wspólność życiowa. W dramacie tym wiele postaci używa gwary berlińskiej, co sztuce w przedstawieniu dużo dodaje żywości. „Die Haubenlerche" miała znaczne powodzenie w „Deutsches Theater," który nareszcie rozwarł swe wrota dla dramatu z nowym kierunkiem.

Próba Adolfa Wilbrandta na tem samem polu („Neue Zeiten") była niefortunną. Natomiast Ludwik Fulda, znany dotychczas jako komedyopisarz, wystąpił szczęśliwie z dramatem społecznym „Das verlorene Paradies" (Raj utracony), wystawionym również w „Deutsches Theater." Autor zapoznaje nas z domem fabrykanta Bernardiego. Jest to typ przeciętnego człowieka zamożnego: „porządny" w znaczeniu moralności konwencyonalnej, nawet dobroduszny, ale bezmyślny i próżny. Podobną jest żona jego. Córkę Edytę wychowano po pańsku, wyuczono jej wszystkiego, czem olśniewać można w towarzystwie, lecz zaniedbano kształcenia serca. To też szlachetna ta w gruncie dziewczyna myśli chętnie o tem, co stanowi najwyższą ambicyę jej rodziców: o świetnej partyi. Wnet znajduje się kandydat odpowiedni, porucznik v. Ottendorf, syn słynnego niegdyś uczonego, po którym oddziedziczył tylko głośne nazwisko. Ottendorf zewnętrznie przedstawia się jako *gogo* o manierach oficerskich, a we wnętrzu jego ukrywa się brutalne samolubstwo, nieznające granic. W akcie pierwszym przyszły zięć omawia z Bernardim finansową stronę sprawy; Fulda nakreślił tę scenę z największą prawdą życiową; to też publiczność zdradzała głośno niepokój. Okazuje się, że Bernardi jest mniej zamożnym, niżby się zdawać mogło, fabryka jego przynosi mu 70,000 marek rocznego dochodu, a pragnąc ułatwić córce świetne zamążpójście, ojciec urządził dom na stopie tak wystawnej, że przeżywa wszystko. Proponuje zięciowi jedną trzecią dochodu; Ottendorf zaś korzysta zręcznie z zakłopotania Bernardiego i zniewala go do odstąpienia mu połowy. Tymczasem w fabryce budzi się niezadowolenie: trzystu robotników żąda podwyższenia płacy o 15%. Bernardi musiałby zredukować znacznie wydatki własne, aby módz zgodzić się na żądania robotników. Niepodobna mu tego uczynić obecnie, kiedy dwie rodziny równie wystawnie utrzymywać musi. Kierownik techniczny fabryki, Arndt, człowiek dzielny i rozumny, jest po stronie robotników. Nieuniknione starcie wybucha wreszcie, a Fulda rozwinął je w głównej scenie sztuki. Bernardi udaje się do fabryki w towarzystwie nowego wspólnika i Edyty. Ottendorf spotyka się z Arndtem, dwa poglądy ścierają się ze sobą. Daremnie deputacya robotników żąda ustępstw. Nieszczęśliwy Bernardi wskazuje na elegancką córkę swą, którą żywić musi. Wówczas stary jakiś robotnik, oburzony do głębi, wyciąga z warsztatów swoją córkę suchotnicę, wołając: Oto moja córka, wszak i ona żyć chce! Ottendorf przykrem słowem przecina możność porozumienia się. Wtedy jeden z deputowanych szeroko rozwiera drzwi żelazne, wiodące do sal maszynowych, a powstrzymując ruch maszyn, ogłasza bezrobocie. Widząc czerwoną jego chustkę, robotnicy w okamgnieniu przestają pracować, z trzystu piersi wydobywają się dzikie okrzyki.

Scena ta sprawia głębokie wrażenie na Edytę. Nie znała ona dotychczas ubóstwa, bogactwo swe uważała za rzecz naturalną, podobnie jak pragnienie życia świetnego. Teraz pojęła, że trzysta uczciwych rodzin cierpieć musi głód i niedostatek, aby ona podróżować i bawić się mogła.' Czuje, że w tej walce wewnętrznej dopomoże jej Arndt. Lecz na razie przykre czekają ją rozprawy z rodzicami i narzeczonym. Nieprzyzwyczajona do wygłaszania poglądów zdrowych i moralnych, nieśmiało zarzuca rodzicom, że źle ją wychowano i oświadcza, że wyjdzie za Ottendorfa tylko w tym razie, jeżeli on zgodzi się na podwyższenie płacy robotników. Ottendorf bynajmniej tego uczynić nie myśli: zatem Edyta, której natura szlachetna budzi się coraz świadomiej, rzuca mu pierścionek pod nogi. Widz domyśla się, że w Arndcie znajdzie dzielniejszego towarzysza życia.

Prasc Fuldy utrzymuje się na poziomie nowej, rozumnej techniki teatralnej, gardzącej efektami sztucznymi, układającej sceny według porządku naturalnego, unikającej frazeologii pustej. Nie jest to dzieło poety genialnego, któreby porywało i na zawsze w pamięć się wryło, jednak wznosi się ponad poziom produkcyi codziennej.

W chwili, w której moda dramatu społecznego opanowała literaturę i publiczność, zainteresowała wszystkich wiadomość, że Sudermann napisał nową sztukę. Tytuł wyborny „Sodoms Ende" (Koniec Sodomy). Już próby ukończono, już ptactwo dziennikarskie, które stadami zbiega się tam, gdzie powstaje jakaś sława, rozniosło po świecie cząsteczki z treści nowego dramatu, gdy wtem policya berlińska zakazała przedstawienia. Dyrektor policyi oświadczył, że nie idzie mu o sceny pojedyncze, lecz o cały kierunek dramatu, na który pozwolić nie może. Wobec tego autor i dyrektor Lessingtheatru, Blumenthal, udali się do ministra Herrfurtha, który po kilku dniach zniósł rozporządzenie policyi. Przeszkoda zrodziła reklamę: na pierwsze przedstawienie zjechało się mnóstwo dyrektorów i reżyserów z zamiarem wyrywania sobie tej nowej żyły złota (trzeba wiedzieć, że „Honor" wszędzie dawanym bywał po wiele razy), gdy wtem zaszła druga niespodzianka: „Koniec Sodomy" — upadł. Upadł zaś dzięki powikłanej akcyi, technice na pół szablonowej i niedostatecznemu pogłębieniu tematu, co świadczy pochlebnie o krytycyzmie publiczności, nieidącej na lep głośnego imienia. Zawsze jednak sztuka to o tyle zajmująca, że warto zapoznać się z jej treścią. „Koniec Sodomy," to — myśleć by można — niezawodnie symboliczne przedstawienie rozkładu towarzystwa nowoczesnego. Nie. „Koniec Sodomy" to obraz, którym się wsławił młody malarz, piękny Willi Janikow. Kupiła go jedna z bogatych dam, zamieszkujących zachodnią część Berlina, a nabywając, przyciągnęła zarazem do siebie młodego artystę. Ada Marcinowska — to typ kobiety żyjącej tylko dla próżności i namiętności. Z Janikowem niebawem łączy ją stosunek miłosny. W salonie Ady poznajemy towarzystwo „Sodomy," której „dowcip zastępuje naturę, prawdę i moralność"; dowcip to cyniczny, kpiący z wszystkiego, co ludziom święte. Jedną tylko postać sympatyczną widzimy w domu Ady, mianowicie siostrzenicę jej, Kitty, przybyłą niedawno z prowincyi. I ona kocha Janikowa, który nie domyśla się jej uczucia, widząc jedynie, że go kontroluje w stosunku do Ady.

Willi, kompletnie zdemoralizowany pod wpływem Ady, nie pracuje wcale, myśląc tylko o romansach i hulaniu. Dawny kolega jego, Riemann, czyni mu wyrzuty i nie wierzy w Faustowską naturę, która rzekomo pracę mu uniemożliwia; ostrzega go przed upadkiem nieuniknionym. W usposobieniu tem Janikow chciałby zerwać stosunek z Adą. Lecz ona nie myśli go wypuścić: gotowa jest ożenić go i proponuje mu rękę Kitty, z którąby mieszkać mógł w jej domu. Zrazu Janikowa razi potworność takiej sytuacyi: lecz Ada przekonywa się, że Kitty go kocha i od tej chwili wierzy w udanie się planu.

Drugi i trzeci akt odgrywa się w domu rodzicielskim Janikowa. Tam poznajemy Kramera, nauczyciela ludowego, towarzysza lat młodych Willego, który poświęcił mały swój majątek dla wykształcenia artysty; Klarę, przybraną córkę starego Janikowa, w której Kramer się kocha. Willi, uproszony przez Kramera, ma nakłonić Klarę do przyjęcia jego ręki. Tymczasem porwany jej wdziękiem, budzi w niej miłość ku sobie; wróciwszy zaś po przehulanej nocy nad ranem do domu, zatacza się do jej pokoiku i uwodzi ją. W czwartym akcie, na balu u Marcinowskich, Willi, trapiony wyrzutami sumienia, oświadcza się siostrzenicy Ady i poznaje w młodej tej dziewczynie swą zbawczynię. Lecz własna matka jego ostrzega ją, że Willi utrzymuje stosunek z Adą, a równocześnie wpada Kramer z wieścią, że Klara znikła. Kitty w rozpaczy wybiega na ulicę, Willi puszcza się za nią, Ada zaś zjawia się na progu salonu i klaszcząc w ręce, woła: do kadryla!

W pracowni Janikowa nad rankiem (akt piąty) widzimy młodego malarza i jego narzeczoną. Wtem wnoszą trupa Klary, która utopiła się z rozpaczy, Willi czuje, że niema dlań wyjścia: przyznaje się do winy Kramerowi, prosząc, aby go zabił. Kramer w uniesieniu swem podnosi nań buławę żelazną — lecz z ust Janikowa bucha krew. „Oto mój koniec — szepcze — w życiu za dużo miałem miłości, dlatego umieram samotny..." W ostatniej chwili porywa go zapał twórczy, a widząc Klarę uroczą w śmierci nawet, jeszcze parę kresek rzuca na płótno i kona.

Treść ta bardzo rozczarowywa widza. „Koniec Sodomy" nie przedstawia upadku zgniłego towarzystwa: towarzystwo pozostaje nietknięte ze swym cynizmem i zabawą, a historya Janikowa bynajmniej nie jest symboliczną. Jest to historya rozpustnika, jakich wielu.

W chwili, kiedy gwiazda Sudermanna zaczyna blednąć, współzawodnik jej Wildenbruch znowu „w łasce, w łasce, w łasce." Mimo że „Haubenlerche" była protestem przeciw zawisłości od rządu, sztuka ta podobała się cesarzowi niemieckiemu. Dowiedziawszy się, że Wildenbruch napisał nową („Der neue Herr"), zaprosił go do siebie i pierwszy wysłuchał nowego utworu, przyrzekając, że sam czuwać będzie nad wystawieniem.

Ladawa.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Światło wielkiej gwiazdy. — Naukowe odkrycie Kocha. — Dziwna forma objawienia wiedzy. — Nieusprawiedliwiona tajemniczość i niepotrzebna spekulacya. — Niepokój chorych i kłopot lekarzów. — Teorya oszczędności wypróbowana na suchotniku. — Ekonomia i filantropia. — Stowarzyszenie fotografów.

Wreszcie na ciemnym widnokręgu świata cywilizowanego błysnęła gwiazda, która ma go rozświecić, ku której zwróciły się spojrzenia wszystkich, a która nie jest ani znakomitą aktorką, ani śpiewaczką. W dwieście lat przeszło po pierwszem dostrzeżeniu bakteryj przez terminatora w składzie płótna, Leenwenhoeka, w sto blizko po zastosowaniu szczepień ochronnych limfy ospowej przez Jennera, Robert Koch, któremu bakteryologia zawdzięcza wiele doniosłych odkryć, ogłosił, że udało mu się wynaleźć środek leczenia gruźlicy. Dawno już wiadomość naukowa nie wstrząsnęła tak światem i niepowitana została równą

radością. Jeżeli zważymy, że suchoty są chorobą zabierającą najwięcej ofiar i najmniej uleczalną, że nie ma prawie rodziny lub koła przyjacielskiego, gdzieby to straszliwe widmo nie przesunęło się w swoim niszczącym pochodzie, że śród ludzkości miliony ludzi żyją pod groźbą wyroku skazującego ich na śmierć nieodwołalną, to pojmiemy, z ilu piersi wyrwał się okrzyk szczęścia po tej nowinie. Lekarze też ze wszech stron tysiącami pospieszyli do mistrza, a chorzy zaczęli napływać tak olbrzymiemi falami, że gazety niemieckie wyraziły wątpliwość co do zmieszczenia się tej masy w objętości Berlina. Dziś Koch w przekonaniu ogółu jest największym człowiekiem żyjącym.

Czy zasłużył na tę chwałę? Dotychczas opiera się ona tylko na jego zapewnieniu, że zbawcze lekarstwo wynalazł. Nie przypuszczamy, ażeby badacz tak gruntowny i sumienny puszczał w świat myśl niedojrzałą i doświadczalnie niewypróbowaną, a właśnie dlatego, że mu ufamy, zadziwia nas wielce jego sposób ofiarowania owocu badań na ołtarzu dobra ogólnego. Wielkie objawienia wiedzy powinny się dokonywać z odpowiednią godnością. Kiedy Lister opracował metodę analityczną, a Pasteur — metodę szczepień ochronnych przeciw wściekliznie, obaj otworzyli na oścież swoje pracownie i oddali do użytku publicznego tajemnice swych odkryć. Tegoż samego dnia każdy lekarz je posiadał i mógł stosować. Inaczej postąpił Koch. Na kongresie lekarskim w Berlinie zaintrygował słuchaczów ogólnikową wzmianką, później zdrażnił ciekawość, uchylając reporterom rąbek zasłony swych poszukiwań, wreszcie gdy gromada lekarzów i chorych zaczęła go oblegać i napierać, ogłosił (w *Medizin. Wochenschrift*), że istotnie wynalazł środek leczenia gruźlicy, ale musi jego skład zachować jeszcze w tajemnicy, dopóki nie skończy doświadczeń. Tymczasem lekarze mogą nabywać cudowny płyn po 25 marek flaszeczkę, chorzy mogą poddawać się kuracyi w szpitalach i klinikach asystentów wynalazcy, słowem wszyscy mogą kupować lekarstwo z wiarą w jego skuteczność, ale znać go jeszcze im nie wolno. Zaiste wytworzyło się położenie bardzo dziwne, gdyż z dwojga jedno: albo środek Kocha jest jeszcze dostatecznie niewypróbowany i w takim razie nie należy go ogłaszać jako cud wiedzy, albo już jest wypróbowany i w takim razie nie trzeba go taić. Tymczasem Koch wybrał drogę pośrednią. Upewniwszy ludzkość, że umie zażegnywać straszną jej plagę, że jego wynalazek posiada nietylko własność leczniczą, ale też rozpoznawczą (dyagnostyczną), opowiedziawszy dziwy o jego działaniu, okazawszy przez swych pomocników żywe i olśniewające dowody jego skuteczności, podniósłszy zaciekawienie i niepokój do najwyższego stopnia, oświadczył, że tajemnicy swego dobrodziejstwa jeszcze nie zdradzi, tylko je sprzedawać może. Wyobraźmy sobie wobec tego sfinksa stan niezliczonych tłumów dotkniętych gruźlicą. Nie wszyscy mogą pojechać do Niemiec, nie wszyscy — zdobyć miejsce w kilku szpitalach (Berlina i Frankfurtu), nie wszyscy za pośrednictwem lekarzy otrzymać zbawcze flaszeczki, bo gdyby nawet Koch posiadał fabrykę swojej szczepionki, nie uczyni zadość żądaniom, i jednocześnie zastrzega, że jego płyn uzdrawia głównie w pierwszych okresach choroby, a w późniejszych ratunku nie daje. Iluż zaś jest chorych, którzy wobec tego zastrzeżenia i niemożności zdobycia leku znaleźli się w okropnej trwodze o swoje życie na myśl, że gdy cudowny środek zostanie ujawniony, przyniesie im pomoc za późno!

Jeżeli Koch za swą pracę i jej dobroczynny owoc pragnie być wynagrodzony materyalnie, sam i opłacić usługi swych pomocników — nie mamy nic przeciwko temu. Ale czy dla osiągnięcia tego celu potrzebnem jest tajenie istoty odkrycia? Pasteur odrazu zapoznał wszystkich ze swoją metodą leczenia wścieklizny, a jednakże długo z całego świata wędrowały do niego liczne rzesze pokąsanych, chociaż przecież wścieklizna nie może się porównywać pod względem liczebności wypadków z gruźlicą. Nadto środek Kocha nie jest ani zielem, które rośnie na każdem polu, ani substancyą, którą można dostać w każdej aptece, lecz stanowi wytwór nowy, który nawet po poznaniu jego składu wymagać będzie przyborów, wprawy i przygotowań uprzednich. Zanim one zostaną dokonane, długo jeszcze badacz berliński i jego towarzysze zatrzymają monopol leczenia, zwłaszcza że jako wynalazca posiadać on będzie największe zaufanie. W końcu dodać trzeba, że Koch jest bogatym, że raz już otrzymał za swe prace naukowe 100,000 rs. i że teraz ma dostać milion! Mógł był więc śmiało zrzec się zarobku ze sprzedaży flaszeczek i kilkotygodniowej praktyki.

Do pewnego stopnia rzec można, że on nietylko dotąd nie dał swego środka ludzkości, ale nawet na jakiś czas powstrzymał w całym świecie leczenie gruźlicy. Bo któryż suchotnik poradzi się obecnie doktora, jeżeli ten nie posiada tajemniczego płynu? Dla chorych wszystkie recepty straciły wartość, każdy czeka na receptę z Berlina, której milczący czarodziej zapisać nie chce i nie określa, kiedy ze swych ust zdejmie pieczęć milczenia.

Nie chciałbym tak znakomitego i tak użytecznego badacza obrazić ani jednem słowem nawet po za jego plecami, ale obrana przez niego forma ofiarowania ludzkości wielkiego daru nie wydaje mi się godną geniusza. Korespondentowi *Newyork Herald*a usprawiedliwiał się on, że go reporterya dziennikarska natręctwem i plotkarstwem „zmusiła do przedwczesnego ogłoszenia“ wynalazku; skoro wszakże umiał tak długo zabezpieczyć się przeciw wścibstwu, mógł mu przyciąć uszy i języki dłużej. Słabą jest również druga jego wymówka, że po odsłonięciu tajemnicy niewypróbowanego jeszcze środka „setki nieudolnych lekarzów bez należytego przygotowania i wiedzy zacząłby go wyrabiać.“ Może bowiem zdarzyć się gorszy wypadek, że szalbierze wyrabiać będą cokolwiek i szczepić lub sprzedawać jako płyn Kocha, a wtedy, pomijając szkody, jaki powstanie chaos w dowodach skuteczności metody, którą od nadużyć pewniej ustrzegłaby jawność zupełna, niż połowiczna.

Nie doczekał uzdrawiającego środka Kocha biedny pracownik w zakładzie fotograficznym „Konstanty“ i zeszedł ze świata, nie poznawszy teoryi ekonomiczno-moralnej swego pryncypała. W kilku dziennikach, a następnie w listach do redakcyi nasi pisanych opowiedziano następujący wypadek. P. Żukowski, właściciel wspomnianego zakładu, nie tylko zaprowadził u siebie obowiązek pracowania zimą do godz. 4, a latem do 6-ej, ale nadto wytrącał „robotnikom“ z pensyi dnie choroby. Między tymi „robotnikami“ był operator Jędrzejewski, zdolny i sumienny, który w ciągu 5 lat służby opuścił tylko 7 dni (z powodu choroby i śmierci matki), czego mu nie darowano. Dogasający suchotnik wytężał resztki sił, ale na 10 dni przed śmiercią nie przybył do zakładu, gdyż musiał ledz w szpitalu, gdzie umarł. Ponieważ nie było go za co pochować, więc towarzysze, również ubodzy, prosili pryncypała, ażeby nieboszczykowi wypłacił całkowitą pensyę miesięczną; ten jednak odmówił, tylko pożyczył im 40 rs. Obecny przy tem p. Girdwoyń, inspektor ogrodu Pomologicznego, chociaż nie znał zmarłego, ofiarował rs. 10, dwaj młodzi ludzie dodali rs. 2 i tą sumą pokryto koszta pogrzebu. Gorszący ten wypadek przedostał się do prasy, a p. Żukowski, jak gdyby do pełnej miarki chciał jeszcze dosypać czubek, przypisał winę ujawnienia faktu retuszerce, wymówił jej zajęcie i... zabrał głos w obronie własnej. Zmarły „robotnik“ — powiada on — pobierał 55 rs. miesięcznie, więc „mógł i powinien był odłożyć sobie pewien fundusz na czarną godzinę“; właściciele zakładów fotograficznych, z powodu zmniejszenia się dochodów, nie mogą być filantropami; wreszcie szan. ekonomista „ani pomyślał“ o odebraniu pożyczonych 40 rs., tylko wolał towarzyszom nieboszczyka „zostawić zasługę solidarności koleżeńskiej.“ Siłę tych argumentów p. Z. wzmocnił 10 rublową ofiarą dla biednych. Kilku właścicieli zakładów fotograficznych zbiorowym listem zaprotestowało przeciwko tytułowi „robotnik“ i przeciw metodzie oszczędności względem chorych biedaków, kilka pism zgromiło jej wynalazcę, a ja go podziwiam. Bo naprzód jest to znakomity ekonomista, który wykrył (nieokreślony bliżej) sposób robienia oszczędności z 55 rs. pensyi miesięcznej i poświęcił źródło pomnażania zmniejszonych dochodów karami za choroby pracowników. Powtóre, odmówiwszy zmarłemu pracownikowi wsparcia, a pożyczywszy jego towarzyszom 40 rs. na pogrzeb, które „ani pomyślał odebrać,“ kiedy w gazetach krzyk podjęto i załączywszy do swego krótkiego wykładu ekonomii w *Kuryerze* 10 rs. dla biednych, dał przykład oryginalnego miłosierdzia i dobrego serca, które rozczula się niezależnie od widoku nędzy i całkiem samorzutnie. Ponieważ zaś p. Ż. „nie lubi paradować w roli dobroczyńcy,“ więc bardzo słusznie uczynił, oddalając retuszerkę, którą bez żadnego dowodu posądził o wystawienie jego wspaniałomyślności na widok publiczny. Nie chciał „paradować“ — wierzymy najzupełniej.

Ale panu Ż. pośrednio zawdzięczamy także dwa objawy, które już bez ironii uznać musimy za pocieszające: wywołał on ze strony współtowarzyszów swego zawodu protest, a ze strony opinii ostrą naganę, co świadczy, że w społeczeństwie naszem rozwinęła się znacznie wrażliwość na zatarg między kapitałem i pracą, oraz wiodczna dla ostatniej sympatya. Przed 15 laty nie mielibyśmy takiego doraźnego sądu nad kapitalistą nielitościwym dla swych robotników. Następnie pod wpływem tego wypadku wzmocniła się osłabiona energia kółka ludzi dobrej woli, pragnącego związać fotografów w stowarzyszenie i ubezpieczyć dotkniętych nieszczęśliwymi obrotami losu. Znowu podjęto myśl utworzenia kasy zaliczkowo-wkładowej, a jednocześnie dobroczynnej, którąby swym uczestnikom niosła pomoc w razie braku zajęcia i w chorobie, a ich rodzinom w wypadku śmierci. Fundusz jej ma się utworzyć z ofiar, z wystaw, balów, koncertów i składek. Z instytucyą tą byłby połączony kantor, pośredniczący w wyszukiwaniu pracy w obrębie całego państwa. Pierwsze datki już złożono i zabrano się do ułożenia projektu ustawy. Przedsięwzięciu temu, jak wogóle każdemu, które ma na celu łączenie się rozstrzelonych jednostek w imię wspólnego dobra, należy życzyć powodzenia.

Poseł Prawdy.

Z D A L A.

Pierwsze owoce działalności naczelników ziemskich. — Odezwa gubernatora niżegrodzkiego w sprawie wyroków chłosty. — Obrońcy do spraw włościańskich. — „Homesteady“ p. Pobiedonoscewa. — Duchowni pionierzy techniki rolnej. — Książę Puzyna przed sądem.

Prasa ruska gorliwie śledzi postępy instytucyi „ziemskich naczelników,“ którzy swoję działalność już rozpoczęli w 16 guberniach państwa. Wiadomo, że przewodnią myślą tego nowego urzędu była dla prawodawcy zasada silnej władzy, stykającej się bezpośrednio z ludem wiejskim — zasada w części przywołana na pomoc dla okiełznania żywiołów zagrażających dobro-

bytowi słabej większości członków „miru“ włościańskiego, dla uporządkowania zarządu gminnego, w części — wysnuta z właściwości ustroju państwowego. Dziś już ta przezorność prawodawcza, ucieleśniona w zastępie urzędników dobranych w klasie uprzywilejowanej (*dworjanstwo*), jak widać z doniesień urzędowych i prywatnych — wydaje pożądane owoce. Dzięki inicyatywie i sprężystości nadzorczej naczelników ziemskich, zarząd gminy zaczyna tracić swoję dawną luźność i skandaliczność. Sądy włościańskie, znane dotychczas ludowi jako „łapciowe,“ które z czasem zmieniły się były na sądy „pisarskie,“ odzyskały należną przyzwoitość i prawidłowość. Samowola pisarzy gminnych została poskromiona — „utarto im nos.“ „Wieś ruska — powiada *Swiet* — w osobie naczelników ziemskich powitała nareszcie żywą i czynną władzę. Wszyscy porządni obywatele wsi, bez różnicy klas, są zadowoleni z nowych regulatorów życia społecznego i ich działalności, mającej na celu: ład i bezpieczeństwo.“ Tak przynajmniej głoszą wieści odebrane przez p. Komarowa z gubernij: riazańskiej, tulskiej, połtawskiej, symbirskiej i czernihowskiej. „Kułaki“ i „mirojedy“ — szynkarze, którzy dotąd wszechwładnie gospodarzyli po wsiach, dostali wędzidła.

Każda nowa instytucya społeczna, a szczególnie taka, która na arenę działalności występuje z hasłem spotęgowania władzy, nie może uniknąć błędów młodzieńczej popędliwości, dającej się tłomaczyć szlachetną gorliwością służenia dobru społecznemu. Takie pierwociny czynów poskromicielskich złożyli na ołtarzu Temidy naczelnicy ziemscy w gubernii niżegrodzkiej. Żeby na wstępie zaświadczyć swoją rolę, zaczęli oni czynności od wykonania wyroków kary cielesnej, wydane przez uprzednie sądy włościańskie. To dało pochop opinii publicznej do szerzenia alarmujących wieści o masowych chłostach, spełnianych po kancelaryach włościańskich. Fakt ten daje się wyjaśnić prosto — jednoczesnością egzekucyi, ta zaś — pojętnem stosowaniem litery prawa. Dlatego też okólnik wystosowany przez gubernatora niżegrodzkiego do pp. naczelników ziemskich należy uważać za objaw dobrze zrozumianej interwencyi i mądrej przezorności. Gdy się przypomni sobie, że większość wyroków wydanych przez poprzednie sądy włościańskie zrodziła się z przekupstwa i wódki lub zemsty, nie trudno będzie zrozumieć następującą przestrogę okólnika gubernatorskiego: „W liczbie naczelników ziemskich jest wiele bardzo młodych osób, rozpoczynających karyerę służbową i pragnących jaknajprędzej zaznaczyć swoją działalność. Masowe wykonywanie wyroków starych sądów włościańskich niewątpliwie zwróci uwagę na działalność naczelników, ale środek ten może być bardzo nieopatrzny i szkodliwy równie dla powodzenia samej sprawy, jak też i dla ugruntowania ufności ogółu do nowej władzy. Dlatego też proszę pp. naczelników najpokorniej uważać wyroki byłych sądów włościańskich za materyał, z którego należy korzystać z nadzwyczajną ostrożnością.“

Z pogłosek dziennikarskich (*Nowoje Wremia*) zapowiada się nowa wielkiej donioslości dla ludu wiejskiego instytucya. Będzie nią państwowy urząd obrońców prawnych do spraw włościańskich. Instytucya ta nie wyszła jeszcze z stadyum mgławicy, lecz w głównych zarysach przedstawia się w następujący sposób: Obrońcy ci zaliczeni będą do służby rządowej, czynności zaś swoje spełniać będą przy kancelaryach naczelników ziemskich powiatowych, polubownych pośredników i sędziów pokoju. Każdy mieć będzie własne biuro. Pod względem odpowiedzialności i kontroli podlegać będą porządkowi, przepisanemu dla adwokatów. Obowiązek zawiadomienia ludności wiejskiej o nowych obrońcach spocznie na administracyjnych władzach włościańskich. Sprawy włościańskie do wysokości 500 rs. prowadzone będą bezpłatnie, od przewyższających tę normę pobierany będzie pewny procent od sumy dochodzonej. Instytucya zamierzona, jeśli stanie się rzeczywistością, będzie w wielkim stylu usiłowaniem prawodawczem zwalczenia pokątnego pośrednictwa prawoznawczego.

Że p. Pobiedonoscew stara się czynem naśladować to wszystko, co w Zachodniej Europie robi i zrobiła zorganizowana zachowawczość reformatorów społecznych, za nowy dowód może służyć jego projekt „ognisk domowych,“ czyli jak inni wolą — „ojcowizn“ (*siemiejnyje uczastki*). Według zapewnienia gazety *Moskowskija Wiedomosti*, projekt ten ma być w niedalekiej przyszłości wniesiony do rady państwa. Istota tej tarczy prawnej polegać ma na tem, iż drobny właściciel dobra nieruchomego, nie tracąc swobody zastawu, sprzedaży lub zapisu swego mienia, może ogłaszać je za nieodpowiedzialne wobec długu i założyć protest przeciwko jego rozdziałowi po swojej śmierci. Instytucya ojcowizny zapobiega więc z jednej strony rozpadaniu się gospodarstw włościańskich na najdrobniejsze działki, a z drugiej niedopuści przechodzenia własności włościańskiej pod naciskiem przymusu sądowego — w cudze ręce. Celem zapobieżenia nadużyciom zakaz nietykalności wobec następstw prawa cywilnego rozpościerać się będzie w granicach określonej normy, po za które nie wyjdzie. Zakaz ten nie będzie nieodwolalnym; przeciwnie, osoba, która pod jego skrzydła opiekuńcze raz przed niebezpieczeństwem się uciekła, może go cofnąć i znowu „ojcowiznę“ wrócić nurtowi swobodnego obiegu. Obszar *homesteadu* zależeć będzie od fizycznych warunków gospodarstwa, gleby itp. Pomysł p. Pobiedonoscewa wymierzony jest przedewszystkiem przeciwko niedomaganiom drobnej własności indywidualnej, wcale zaś jest zbyteczny dla większości włościaństwa wielkoruskiego, które się opiera na gminnej własności, bronionej przez prawo 18 (30) marca 1866 r. (o zakazie działów familijnych). Ponieważ jednak mało posiada stanowczości — pozwala właścicielowi dowolnie klaść zakaz na ojcowiznę i cofać go w miarę potrzeby — może nieosięgnąć w tym stopniu celu, co będący na porządku dziennym w sferach prawodawczych projekt prawa o bezwarunkowej niezbywalności ziemi chłopskiej.

W swoim czasie w prasie ruskiej wysoko podnoszono działalność szkoły krasnoufimskiej na polu kultury rolniczej, energię i wpływ na lud nadzorców agronomicznych, wychowanych przez nią. Szkoła ta rozwinęła się zupełnie samodzielnie i w sprawie tępienia owadów szkodliwych dla zbóż oraz upowszechnienia śród ludności wiejskiej — techniki gospodarczej i budownictwa maszyn i narzędzi rolniczych (np. młocarni itp.) zdziałała dużo. Wraz z swymi wychowańcami, polami doświadczalnemi stała się istnem ogniskiem wiedzy technicznej, wzorem nietylko dla całej gubernii permskiej, lecz i dla ościennych — ba, nawet dla całego państwa. Praca podjęta w tym kierunku przez samo społeczeństwo i poparta energicznie przez rząd byłaby najodpowiedniejszą drogą, po której, przypuściwszy, że niema żadnych przeszkód głębiej tkwiących — wypadało podążyć usiłowaniom podniesienia technicznego poziomu drobnej produkcyi rolnej. Byłyby to środki zgodniejsze z duchem czasu. Rzeczywistość wykazuje, że w łonie wsi ruskiej kryją się jeszcze inne — działalność tego samego rodzaju proboszczów (*swiaszczenników*). Do roli, jaką im wyznaczył p. Pobiedonoscew w szkołach cerkiewno-parafialnych i w niedawno przez nas wzmiankowanej organizacyi moralno-umysłowego oddziaływania na lud (bractwa), dołącza się jeszcze, może całkiem przypadkowo rola szczepicieli wyższej kultury gospodarczej w produkcyi włościańskiej. Idąc za głosem własnego interesu i siedząc o miedzę z chłopem, poprowadzili oni prawidłowo i racyonalnie swoje gospodarstwa, stając się przez to, może wcale bezwiednie, przykładem dla sąsiadów. Przypuszczać należy, iż są to przykłady dość liczne i nie rzadko tu i owdzie występujące. Składnicy narzędzi rolniczych i kupcy trudniący się handlem nasion podobno największej liczą nabywców śród duchowieństwa wiejskiego. W miejscowościach, gdzie wielkie gospodarstwa pochyliły się ku upadkowi lub zupełnie ich brak, jedynym pionierem ulepszeń kultury rolnej — są duchowni. Te pojedyncze wysiłki, nieobjęte jednolitym planem, wita *Swiet*, jako zwiastuny rodzącej się nowej siły kulturalnej i stawia ze swej strony kilka żądań. Potrzeba, żeby państwo, obdarzywszy już prawie wszystkich plebanów wiejskich gruntem, postarało się jeszcze o podniesienie ich gospodarstwa. Osiągnęłoby przez to dwa cele: poprawę gospodarstwa włościańskiego (naturalnie pośrednio) i utrwalenie dochodów proboszcza. W ten sposób gaża, udzielana jemu przez skarb, byłaby raczej zapomogą gospodarczą i podwójnie zasłużoną — jako przez duszpasterza i „kulturtregera.“ Właśnie w sam czas nauka gospodarstwa wiejskiego stać się ma składową częścią kursu seminaryów duchownych. Pozostaje tylko zwrócić uwagę na zagospodarowanie się młodych proboszczów i dopomożenie im w tem, nadto zaś — pokierowanie ich działalnością kulturalną. Steru mógłby się jąć departament rolnictwa i to w prosty sposób. Wielu z proboszczów należy do jego korespondentów i mógłby przeto udzielać obowiązkowo swoje opinie, z których sumy ujawniłoby się wyraźnie, jaki typ gospodarstwa duchownych w różnych strefach Rosyi byłby pożądany, jaki wpływ wywierają te gospodarstwa na lud i w jaki sposób ten wpływ dałoby się spotęgować.

Niespełna miesiąc temu na ławie oskarżonych zasiadł w Poniewieżu na Żmujdzi książę Paweł Puzyna, były marszałek szlachty i magnat. Pod zarzutem roztrwonienia pieniędzy publicznych (kasy zaliczkowo-wkładowej w Grunach, której był kierownikiem) oraz fałszerstwa ksiąg rachunkowych. Pomimo całej wymowy obrońcy, p. Wróblewskiego, i presyi, opinii publicznej (obywateli ziemskich) oświadczającej się za oskarżonym, pomimo przychylnych wzmianek świadków, pomimo „sympatycznego naszkicowania“ osoby winowajcy w akcie oskarżenia, wyrok był zgodny z literą prawa: pozbawienie szczególnych praw stanu i osiedlenie na 10 lat w gubernii Irkuckiej.

Z. Atanazy.

UNIKAT LITERACKI.

Po wawrzyny krytyka literackiego nie sięgałem nigdy ani jawną ręką, ani skrytą myślą; jeżeli zaś od czasu do czasu występuję w jego roli, to zawsze z przekonaniem, że w przd opinii wpuszczę kroplę nową a niezbyteczną, i głównie wtedy, kiedy jakiś pisarz lub jakiś utwór pociąga mnie swą oryginalnością i znaczeniem. Przeważnie pod wpływem tej pobudki, a częścią pod naciskiem czytelników *Prawdy*, których nawet kilkakrotnie w odpowiedziach redakcyi musiałem prosić o cierpliwość, napisałem rozbiór literackiej działalności Prusa. Do pracy tej przystąpiłem z dobrą wolą, ze szczerą sympatyą, z rzetelną sumiennością i zamiarem przyjęcia udziału w uznaniu dla wybitnego autora. Przejrzałem rozproszone a nieraz z trudem zdobyte jego kroniki, przeczytałem ponownie wszystkie, nawet młodzieńcze jego utwory, wydobyłem z nich najdrobniejsze iskierki talentu i złożyłem z nich taką dla autora aureolę, na jaką według mojego sumienia i wiedzy zasłużył.

Ze wszystkich metod krytycznych najwłaściwszą wydaje mi się ta, której zasady dał H. Taine, a która wzorem nauk przyrodniczych nie mierzy autorów opatentowanym łokciem, nie wtłacza ich w formy szablonu, nie urządza literackiej superrewizyi, nie chwali i gani, lecz przyjmuje tę racyę bytu, jaką sami sobie wytworzyli, wykrywa ich rysy znamienne, ocenia ich siły, tłomaczy i objaśnia. Rozbiór też piśmienniczej działalności Prusa poprzedziłem określeniem tej metody, którą posługiwać się miałem, a w wywodach starałem się uwydatnić jego główne uzdolnienia i usprawiedliwić słabości, unikając wszelkich napomnień, dydaktyzmu, morałów, wogóle tego, co wysnuć się daje z narzuconego artyście pojęcia powinności. Nie wątpiłem, że ktoś inny mógł był to zadanie spełnić lepiej, ale zdawało mi się, że zarówno niezwykły, a w *Prawdzie* wyjątkowy rozmiar tego studium, zarówno jego ton, jak sądy szczegółowe świadczyły o wielkiem uznaniu krytyka dla autora, które zresztą w ciągu lat ostatnich *Prawda* wielokrotnie mu objawiała. Tak też zrozumieli nas czytelnicy. Ani jeden, bądź piśmiennie, bądź ustnie, nie wymówił nam niedocenienia Prusa, natomiast niektórzy dostrzegli przesadę pochwał, a p. I. M. z Piotrkowa zauważył w liście, że „redakcya *Prawdy* tak szczodrze rozdziela tytuły genialności, jak wystawa rolnicza złote medale.“

Wobec tego łatwo pojmiecie moje zdumienie, gdy w *Kuryerze codziennym*, przeczytałem już nawet nie żółcią, ale pianą napisany pozew o „fałsze, insynuacye, obelgi i niedorzeczności“ wraz z zapowiedzią obrony skrzywdzonego przeze mnie autora. Obrona ta wzburzonym potokiem gniewu przepłynęła przez ośm numerów *Kuryera codziennego* i stanowi unikat w literaturze. P. G. odtrącił z oburzeniem podany mu bukiet kwiatów i cisnął we mnie wiązką pokrzyw. Ażeby odświeżyć w pamięci moje uwagi i uwidocznić różnicę tonów naszego wzajemnego traktowania się, zamieszczam poniżej w dosłownych wypisach i ów mój bukiet i p. Głowackiego wiązkę. Proszę naprzód przeczytać i porównać:

Najbardziej winniśmy cenić (w twórcy) to, co jest w nim najlepszem — oryginalność. Takim *oryginalnym* w dość znacznej mierze, a przeto dla *literatury wartościowym* umysłem, *kryształem* nie nadzwyczajnej wielkości, ale *szczególnego i pięknego kształtu* jest Bolesław Prus.

Bardzo wcześnie zdradzał jakąś oryginalność, której niepodobna było określić, która jednakże znamionowała *umysł niepospolity*.

(W zbiorku „To i owo“)... zabarwił się czasem kwiatek dowcipu, który dla uważnego wzroku świadczył, że z gruntu tego wyrosnąć mogą kiedyś *piękne i oryginalne* postacie humoru.

Zarysował się (w pierwszych utworach) jako *znakomity nowelista*, tj. twórca krótkich powiastek, zawierających *myśl głębszą*, oprawionych w ramy *kunsztownego i szczerego humoru*.

Prus tedy, *prawdziwy Meissonier* nowelistyki naszej, stał się dla dzienikarstwa *siłą pierwszorzędną, nieoszacowaną*, a zarazem uprawia z zamiłowaniem tę niwę, na której wyrastały bujne wawrzyny. O szerokie malowidła się nie kusił i poprzestawał na małych, w których rzeczywiście doszedł do *wysokiego mistrzowstwa*. Niektóre z tych *pięknych klejnotów* przeszły do literatur zagranicznych, a jeżeli tam nie oceniono ich należycie, to tylko dlatego, że wystąpiły one nielicznie i że w przekładach zatarły się *przepyszne*, dla cudzoziemców niezrozumiałe *barwy miejscowe*.

Śmieje się on nie wątrobą, ale *sercem*; nie kąsa, nie szarpie, nie zagryza, nie napuszcza zadanych ran żółcią, nie wypuszcza strzał zatrutych, lecz sadza swą ofiarę na krześle połączonem z bateryą elektryczną i przepuszcza zręcznie prąd, wykrzywiając nim mięśnie twarzy i członki w sposób zabawny.

Jest on nietylko opowiadaczem zabawnym... ale także pisarzem niezmiernie dowcipnym, może *najdowcipniejszym* we współczesnej literaturze naszej. Miewa chwile szczęśliwe, w których *najsłuszniej* mierzyć się może z Dickensem lub Thackereyem. Dickens nie umiał *pyszniej* splatać śmiechu ze smutkiem.

W utworach swoich zjednywa serca czytelników przedewszystkiem dla istot maluczkich, ciemnych, upośledzonych, sponiewieranych.

„Powracająca fala“ jest nadzwyczaj wyrazistem, a w literaturze naszej może *najwyrazistszem* odmalowaniem męczeństwa pracy w niewoli u kapitału... W ruchu umysłowym i społecznym, płynącym dziś szeroko z tego źródła, Prus poniekąd *wyprzedził* u nas dowodzenia teoretyczne i działalność praktyczną.

W najdziwaczniejsze osnowy wplata tyle *świetnych* spostrzeżeń i szczegółów realnych, że jego zmyślenie mieni się ciągle znamionami prawdy.

Heine dowcipniej opisuje w „Buch Le Grand“ swoje lata szkolne, ale i humor Prusa ma (w „Grzechach dzieciństwa“) błyski *olśniewające*.

Umie on *mistrzowsko* nadać życie i potęgę istotom i rzeczom najdrobniejszym.

Drobne obrazki w czterotomowym zbiorze stanowią życiowe uplastycznienie jakiejś myśli lub spostrzeżenia.

Te niezmiernie proste ramy („Anielki“) obejmują jeden z *najpiękniejszych* obrazów powieściowych, jakie posiada nasza literatura.. Niektóre sceny, czy to tryskające prawdziwym humorem, czy to oddychające głęboką rzewnością, są nakreślone *genialnie* .. To pomysły *znakomite*, w wykonaniu *mistrzowskiem*.

Oprócz Sienkiewicza w „Szkicach węglem,“ *nikt* nie zajrzał w duszę polskiego chłopa tak głęboko. nikt z niej nie wydobył takiego zdroju brutalstwem pomąconych, ale zdrowych uczuć, nikt tak nie wypatrzył krętych dróg jego myśli, nikt tak nie poznał dziwnego biegu jego logiki, źródła upodobań i wstrętów, jak Prus (w „Placówce“). Tego nie osiągnęłoby najdłuższe i najskrupulatniejsze badanie, taką wiedzę posiadać może tylko intuicya *wielkiego talentu*.

Ponieważ Prus jest mistrzem szczegółów, więc w tych drobiazgach (wątku „Lalki“) sypią mu się z pod pióra *perły artyzmu*.

Nie jest to filozof, uczony, głęboki myśliciel, oryginalny reformator; ale jest to świetny humorysta z częstymi przebłyskami geniuszu, poeta nizin życia i drobnych żyjątek, zatopionych w morzu społecznem, mistrz obrazków drobnych i postaci maluczkich, dostojnik literatury, a nie protegowany faworyt jakiegoś pisma, nie bohater chwili, znikający i zapomniany po ostatnim oklasku przyjaciół. On w piśmiennictwie zostanie i na długo zostanie z wielkim swoim talentem i z czułem swojem sercem.

Krytyk zarzuca autorowi: *cyniczne* wyparcie się *jakiegokolwiek* celu w pracy, *bezmyślne* błaznowanie, *nieumiejętność* zrobienia planu, *nieudolność* przedstawienia charakteru, organiczny *wstręt* do wielkich idei, nareszcie *kłamliwość* z powodu choroby fantazyi.

Pisze „fałsz za fałszem“ — „*arcydzieło oszczerstwa*, czy *lekkomyślności*.“

Na jakiej zasadzie p. Ś. obdziera mnie, już nietylko *ze wszelkich idei i przekonań*, nietylko robi mnie człowiekiem *chorym na umysł*, ale jeszcze osmiela się awansować mnie na członka partyi konserwatywno - liberalno - arystokratyczno - demokratyczno itd, i robi mnie jakimś publicznym „bawicielem,“ rodzajem *cyrkowego clowna*?

Rzucając na mnie *oszczerstwa* i jednocześnie obsypując je komplimentami, z których *żartuje sobie*, p. Ś. widocznie przypuszczał, że i mnie zabraknie *odwagi do spojrzenia mu w oczy*.

P. Świętochowski jest krytykiem w wysokim stopniu *lekkomyślnym*, który bez żadnej ceremonii zarzuca ludziom nie tylko to, czego nie zrobili, ale nawet wmawia w nich *występki*, wprost przeciwne ich najświętszym zasadom, które wypełniali. Zresztą p. Ś. chcąc *zelżyć i zniesławić* mnie, doskonaie scharakteryzował siebie.

Dla p. Ś. wyrazy i zdania utraciły już znaczenie, więc nawet wówczas, kiedy *depcze* i *piętnuje* niemi kogoś... nazywa to „wielkiem uznaniem“ i „szczerą sympatyą.“

P. Ś. podjął się być moim *profesorem* kompozycyi i to profesorem *surowym*.

P. Ś. nie zna *elementarnych* zasad kompozycyi literackiej, o ile ta może być traktowana naukowo. Pomimo to przybiera wobec autora *ton nauczyciela* przemawiającego do *żaka*, który *nie* przygotował się na lekcyę. Stawia *zarzuty* albo niedorzeczne, albo fałszywe. Robi zaś to tak *złośliwie*, że możnaby go posądzić o chęć *zdyskredytowania* autora nietylko *u publiczności*, ale nawet *u wydawców*.

Jestem pewien, że pisząc te *brednie*, p. Ś. ani pomyślał, co będzie, jeżeli go zapytam itd.

Cele mojej pracy literackiej podjął się „wszechstronnie“ otaksować p. Ś. nie w tym celu, aby zreasumować, co zrobiłem, a czego zrobić nie mogłem, ale ażeby pod pokrywką *śmiesznych komplimentów odsądzić mnie od czci i wiary*.

Szanowny krytyk wprawdzie *nie rozumie* mojej generacyi, ani mojej młodości, ale pisze o niej, *ażeby* nazwać mnie *złośliwcem* i zawczasu ubrać w „czapkę z dzwonkami.“ On nie wie, na czem polega humor, ale sądzi o tem, ażeby mi narzucić *bezcelowe błaznowanie*. Wspomina o „Kronikach“ nie po to, ażeby wykazać ich związek z biegiem naszego życia społecznego, lecz żeby *zakwalifikować* mnie do „wymiatania rynsztoków i oczyszczania podwórek.“ Mówi o powieściach, chociaż *nie ma pojęcia* o ich kompozycyi, *dlatego*, ażeby *odradzić* mi pisanie większych powieści.

Podobny *kubeł pomyj* mógł mi wylać na głowę tylko krytyk tego fasonu, co p. Świętochowski.

Jakkolwiek wykrzyki, skargi i impertynencye p. G. nie zawsze są bezpośrednią odpowiedzią na moje, zestawione obok nich zdania, sądzę jednak, że te dwie kolumny słów uwydatniają kontrast tonów, usprawiedliwiają zdziwienie, które nie mnie tylko ogarnęło i rozstrzygają w zasadzie pytanie: czy krytyk, który tyle i tak wysokich zaszczytów przyznał autorowi, mógł jednocześnie chcieć go zniesławić i zniesławił?

Zobaczymy to wyraźniej w sprawdzeniu szczegółowem.

(D. c. n.).

A. Ś.

KRONIKA.

Słuszne żądanie.

Robotnicy fabryki Błeszno pod Częstochową podali w tych dniach do zarządu fabrycznego prośbę o przekształcenie istniejącego sklepu spożywczego, który jest instytucyą patronalną (założoną przez fabrykantów i znajdującą się pod ich wpływem) na stowarzyszenie spożywcze, prowadzone przez samych najemników. Skłania ich do żądania zmiany ta okoliczność, że w istniejącym sklepie ceny towarów są daleko większe, niż gdzieindziej, skutkiem czego robotnicy, kupując w nim artykuły spożywcze, nie tylko nic nie zyskują, lecz jeszcze tracą i wolą go omijać, a udawać się po sprawunki do odległego o 3 wiorsty miasta. Żądania robotników mają za sobą nietylko słuszność, lecz także są zupełnie legalne i powinny uzyskać zadośćuczynienie. Fabryka w Błesznie należy do Hillego i Dietricha, właścicieli zakładów żyrardowskich, gdzie jest stowarzyszenie spółdzielczo-spożywcze, założone przed kilku laty z inicyatywy robotników, którzy obecnie stanowią w niem przeważającą liczbę akcyonaryuszów (akcye 10-rublowe). Idzie więc teraz o to, żeby patronalny sklep w Błesznie uczynić filią stowarzyszenia żyrardowskiego.

Wyższe kursy kobiece.

„Pół-wszechnica“ kobieca, czyli tak zwane „wyższe kursy,“ wznowione i zreorganizowane w zeszłym roku, uznaniem, jakie zyskują u słuchaczek, stanowczo stwierdzają potrzebę wyższego wykształcenia kobiet. Ze sprawozdania za ubiegły rok szkolny widać, iż wszystkich słuchaczek przyjęto 144, w tej liczbie 107 na oddział historyczno-filologiczny i 37 na fizyczno-matematyczny — tylko z tych dwóch wydziałów kursy są złożone. Według wyznania, klas społecznych i stanu cywilnego — słuchaczki klasyfikowały się w następujący sposób: wyznania prawosławnego było 130, rzymsko-katolickiego 6, luterańskiego 3, mojżeszowego 5; pochodzenia szlachecko-urzędniczego 111, duchownego 7, kupieckiego 19, mieszczańskiego 5, włościańskiego 2; panien 141, mężatek 2, wdów 1. Z zakładów petersburskiego okręgu naukowego — 80, z innych — 64. Nieco więcej niż połowę dostarczały kursom znajdujące się w samym Petersburgu—175, resztę 69—zamiejscowe, ze wszystkich krańców Rosyi: z Rostowa nad Donem, Ekaterynodaru, Władykaukazu, Tyflisu, Tomska, Krasnojarska, Jenisejska! Świadczy to wymownie o wzmagających się dążnościach śród kobiet ruskich do uniwersyteckiego wykształcenia. Z całej liczby 144 słuchaczek zapisanych

w zeszłym roku na kursy tylko 4 na własne żądanie zostało na I-ym kursie na drugi rok, reszta zdała egzaminy przejściowe bardzo zadawalająco. W obecnym roku szkolnym podało prośbę o przyjęce aż 110 kandydatek, z których tylko 101 otwarto gościnne podwoje. Jak i w przeszłym roku, na wyznanie prawosławne przypadło 92, na klasy uprzywilejowane — 70.

Przy kursach, jak wiadomo, dla słuchaczek, niemających w mieście rodziców, krewnych, mężów, ani opiekunów, ustanowione są internaty, w których łatwiej można roztoczyć dozór nad konduitą. Studentki mogą odbierać wizyty, ale nieinaczej, jak z warunkiem, że odwiedzający i odwiedzające wpiszą swoje nazwiska do specyalnej księgi kontroli, same zaś odwiedziny dopełniane są w stosownej poczekalni.

Z sądu.

Dotknięta artykułem W. Sułkowskiego, zamieszczonym w *Głosie* p. t. „Gospodarka szpitalów warszawskich,“ Rada miejska dobroczynności publicznej, której zarzucono nedokładne rachunki, zaskarżyła redaktora i autora o dyfamacyę. Sprawa jednak co do swej istoty, mianowicie co do zasadności zarzutu nie została rozstrzygniętą, gdyż p. Sułkowski, przebywający w Krakowie, nie stawił się w sądzie, a p. Potockiego z winy zamieszczenia artykułu usprawiedliwiono.

Sprawy społeczne. W dn. 13 b. m. w departamencie cywilnym senatu w Petersburgu rozpoznawaną była głośna od lat 14-tu ciągnąca się sprawa o milionowe dobra po książętach Wiśniowieckich. Senat odrzucił skargę kasacyjną hr. Włodzimierza Broel-Platera. Wiśniowice przechodzą ostatecznie do rąk kupca kijowskiego de Tolli.

— Według danych urzędowych w gub. wołyńskiej było r. 1865 w posiadaniu rosyan 167,000 dziesięcin ziemi, polaków — 2,776,000, żydów 30,000 dziesięc., niemcy nic nie mieli. W r. 1887 własność ruska wynosiła 865,000 dzies., polska 1,162,000, żydowska 42,000, niemiecka 242,000 dzies.

— Na dochód niezamożnych studentów Instytutu Weterynaryjnego odbył się w Warszawie koncert.

— Petersburskie towarzystwo techniczne zajęte jest obecnie przygotowywaniem się do prób (które się odbędą w przyszłym miesiącu pod Petersburgiem) z latawcami zastosowanymi do celów wojskowych dla telegrafowania w nocy. Na powierzchni latawca umieszczona latarka elektryczna, złączona drutem z bateryą, będzie dawała krótsze lub dłuższe światło, z czego się utworzy alfabet telegraficzny.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że jeden z kupców zapłacił za kwit rekrucki dla swego syna 25,000 rs.

— W pierwszych dziewięciu miesiącach r. b. wyemigrowało z Poznańskiego 9.000, a z Prus zachodnich 7,715 osób.

— W Czersku (Prusy zachodnie) powstało Towarzystwo rolnicze ludowe, którego zarząd objęli włościanie.

Szkoły. W uniwersytecie warszawskim wydział lekarski liczy obecnie 612 studentów, fizyczno-matematyczny 143, najmniej filologiczny: 53. Ogółem wszystkich studentów 1,335, w tej liczbie 243 prawosławnych, 864 katolików, 40 ewangelików i 188 żydów.

— Od nowego roku powstaje w Warszawie 14 szkół elementarnych: 10 męzkich, 4 żeńskie. Etat: dla męzkich po 1,140 rs. rocznie, dla żeńskich po 1,050 rs.

— W Białymstoku powstaje trzyklasowa szkoła techniczna ze składek fabrykantów.

— W tych dniach na ogólnem zebraniu Senatu rozpoznawaną była kwestya: czy miasto albo ziemstwo ma prawo zamykać szkołę z powodu braku środkow na jej utrzymanie, jeśli tylko ona korzystała z zapomogi społecznej? Senat rozstrzygnął potwierdzająco.

— Katolickie seminaryum nauczycielskie w Brzegu, założone dla dostarczania nauczycieli W. Ks. Poznańskiemu, będzie zamienione na protestanckie.

— Na uniwersytet krakowski zapisało się w r. b. 1,190 słuchaczów.

— Galicya ma 26 gimnazyów klasycznych z 12,555 uczniów, szkół realnych 3 z 1,050 uczn. Od r. 1875 w pierwszych liczba uczniów podniosła się przeszło o 50,00, w drugich zniżyła się o 150.

Przemysł i handel. Ministeryum skarbu wydało rozporządzenie, aby konsulowie ruscy za granicą nadesłali wszystkim krajowym Towarzystwom rolniczym próbki ruskiej pszenicy i współzawodniczącej z nią zagranicznej w takim stanie, w jakim się sprzedaje na rynkach zagranicznych, jak również próbki mąki dla porównawczego zbadania.

— Na ostatnim zjeździe przemysłowców żelaznych uznano za rzecz konieczną zaprowadzić system, ułatwiający tani kredyt i usuwający wiele przeszkód w rozwoju tej gałęzi przemysłu.

— Zawiązane w Holandyi towarzystwo do spółki z kapitalistami ruskimi stara się o monopol tytoniowy w Rosyi na lat 10.

— P. Maryan Gorzkowski otwiera w Samarkandzie kantor komisowy z filią w Warszawie.

— Kupcy francuscy postanowili otworzyć w Paryżu wielki jarmark na wełnę, celem współzawodniczenia z takimi jarmarkami w Londynie i Amsterdamie.

Komunikacye. Telefon między Paryżem a Wiedniem otwarty będzie w początkach stycznia r. p.

— Między Nowym Yorkiem a Chicago będzie zaprowadzona komunikacya pocztowa za pomocą ścieśnionego powietrza.

Konkursy. *Ziarno* ogłosiło konkurs na nowelę z nagrodą 100 rs. Termin nadsyłania 1 lutego 1891 r.

— Ministeryum dóbr państwa urządza konkurs na wynalezienie pieca, przedstawiającego wszelkie bezpieczeństwo przy używaniu słomy na opał.

Wystawy. Zapowiedziana na luty i marzec r. p w Moskwie wystawa środkowo-azyatycka obejmować będzie następujące działy: 1) bogactwa naturalne Azyi środkowej w stanie surowym i obrobionym; 2) historyczny; 3) archeologiczny i etnograficzny; 4) naukowy; 5) przedmioty wwożone; 6) wyrobione w Rosyi europejskiej z materyałów środkowo-azyatyckich. Ostatni zjazd przedstawicieli ruskich kolei żelaznych postanowił dla tej, jak również dla wystawy wyrobów francuskich zniżyć przejazd wystawcom o 50%.

— Wystawa geograficzna, urządzona w New-Yorku przez instytut Brooklina, z powodu nadmiernej liczby zgłaszających się otwartą będzie dopiero 1 stycznia r. 1891.

Zdrowie publiczne. Rada państwa na wniosek ministeryum dóbr uznała za właściwe zabronić fabrykacyi margaryny w zakładach wytapiajacych tłuszcze, tudzież ustanowić karę do 305 rs. z zamianą na areszt i konfiskatą produktów, stosowaną do tych, którzyby margarynę sprzedawali jako masło naturalne. Wyrób tego produktu podlegnie kontroli rządowej i będzie obłożony odpowiednim podatkiem akcyzowym.

Wiadomości administracyjne. Wypracowany przez ministeryum spraw wewnętrznych projekt prawa o poddanych zagranicznych, między innemi obejmuje przepis, że ci z kwalifikujących, się do wydalenia z granic państwa cudzoziemcy, którychby właściwe rządy przyjąć nie chciały, mają być wysłani drogą administracyjną na mieszkanie w gub. tobolskiej i tomskiej.

— W Suwałkach powstaje nowe pismo prowincyonalne.

Zmarli. Karol Feyerer, współredaktor wiedeńskiej „Presse.“

— Dr. Maks Burian w Wiedniu; adwokat i publicysta.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. | Дозволено Цензурою, Варшава 9 Ноября 1890 г. | Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.